

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 39 (1775) • 27 września – 3 października 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Płaczemy po Urbanie,
opijamy urodziny NIE

Św. Jerzy

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 3 9

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

♦ Powódź przeszła. Jest to osobista zasługa premiera Tuska, który przeprowadził rząd do Wrocławia, ale też do Nowej Soli, Głogowa i Szczecina – wszędzie, gdzie ludzie chcieli zobaczyć swojego premiera w czarnej koszuli albo nawet podkoszulce. Osobiście nawiedził też Kłodzko, Nysę i Glucholazy, po czym kazał samorządowcom – którzy mu skądinąd nie podlegają w kwestii codziennego funkcjonowania, a jedynie, jak stanowi konstytucja, z punktu widzenia legalności – iźby jechali w teren do powodzian i pozwalali się opierać, jako i on pozwolił. Istnieje podejrzenie, że przeciętny wójt z zalanej wsi może być opierdolony nieco silniej niż premier rządu w otoczeniu funkcjonariuszy SOP – ale też i godność premiera jest znacznie większa.

♦ Tej ostatniej tezie zaprzeczałaby postawa byłego premiera. Mateusz Morawiecki, żeby nieść pomoc powodzianom, udał się do Glucholaz. Tam pełnym przypadkiem napotkał swojego eksministra Kamila Bortniczuka, po czym za jego namową żwawo przystąpił do skuwania przegniłego tynku młotem pneumatycznym, co zostało uwiecznione na socjalach. Premier przyjechał w lakierkach – opowiadał Bortniczuk dziennikarzom. Proponowałem mu, jak zobaczyłem, w jakich jest butach, że mu dam gumowce, które miałem w samochodzie. Ale on powiedział, że te lakierki może zniszczyć, nie ma z tym żadnego problemu. Nie chcemy być niemili, ale pewnie się brzydził bortniczukowych kaloszy. Jaka pomoc jest w tej chwili w najbardziej potrzebna, panie premierze? – zapytała przejęta telewizja wPolsce24. Praca rąk ludzkich – odparł Morawiecki. Patrzcie, a niektórzy milionerzy jak te pidzy wystali pieniądze.

♦ W temacie działań rządu opinia publiczna podzieliła się, ale nierówno. W dziwnym sondażu, przeprowadzonym przez SW Research na zlecenie „Rzeczpospolitej”, ankietowani zostali poproszeni o ocenienie reakcji rządu na powódź w skali szkolnej. Ale nie takiej zwykłej, od 1 do 6, tylko opisowej: niedostatecznie, miernie (w szkołach nazywa się to dopuszczająco, ale pewnie „Rz” uznała, że nie wypada użyć tego terminu w odniesieniu do premiera), dostatecznie, dobrze, bardzo dobrze, celująco. 45 proc. ankietowanych wystawiło 4–6; 15 proc. – tróję; 13,6 proc. było gotowych warunkowo dopuścić rząd Tuska do dalszego rządzenia, a 12 proc. dało jedynkę. Reszta nie miała zdania. Zaskakujące jest to, że także w bardziej standardowych sondażach – zdecydowanie i raczej dobrze i źle z trudno powiedzieć pośrodku – oceny były w większości pozytywne. Widać Polacy lubią ryżych szeryfów.

♦ PiS złożyło do prokuratury okręgowej w Warszawie doniesienie na pięciu członków Państwowej Komisji Wyborczej, którzy głosowali za odebraniem mu dotacji. Z jednej strony – rozumiemy nijakie schadenfreude obozu obecnej władzy, która tak samo beznadziejnie donosiła na rozmaite wyczyny Prawa i Sprawiedliwości przez poprzednie osiem lat. Z drugiej – niepokoi nas szczerść, z jaką przedstawiciele „Koalicji 15 Października” o tym mówią: Czyżby wchodzi w grę zasada „złodziej krzyczy łapać złodzieja”? A kto zafundował polskiej demokracji taki, a nie inny sposób powoływania członków PKW? Komu to przeszkadzało, że bezstronni sędziowie pracowali w PKW i trzeba ich było usunąć na rzecz politycznych nominatów? To nie jest wymysł obecnej koalicji, to wymysł PiS-u i teraz zbiera owoce swojej działalności – tokował z wyraźną przyjemnością wice-marszałek Zgorzelski. Może by ktoś mu wytłumaczył, że właśnie powiedział, że nowa władza mści się na PiS za pomocą stronicznej partyni PKW? Bo może chłopina nie wie, co mówi?

♦ Opinia biegłego o stanie zdrowia Zbigniewa Ziobry dotarła do komisji do spraw Pegasusa. Wszystkie nieprawidłowości zostaną rozliczone – ucieszyła się w socjalach Magdalena Sroka. Biegły orzekł, że Ziobro ma się lepiej i może zeznawać nie dłużej niż przez dwie godziny naraz, ale przed kamerami jak najbardziej. Sroka dyskretnie nie zdradza „danych wrażliwych” – na przykład takich, czy Ziobro w ogóle był chory (co po jego nocnym wystąpieniu pod przeszukiwanym domem chyba nie budzi wątpliwości) – ale cieszy się jak dziecko, że jej komisja wreszcie byłego ministra przecołga. Znów: rozumiemy dziecięcą radość przewodniczącej Sroki, która póki co nie odnotowała śledczych (ani politycznych) sukcesów; ale czy tzw. nasza strona nie miała być lepsza? Politycznie, etycznie, humanistycznie? Zaskakująco podobne wątpliwości ma naczelny łowczy PiS w „Gazecie Wyborczej” Wojciech Czuchnowski: Merytorycznie to przesłuchanie jest bez znaczenia. To będzie tylko spektakl. Uważam, że niepotrzebny. Nie wszyscy jesteśmy Zgorzelskimi.

♦ Prezydent Andrzej Duda udał się w świat. W świecie miał się spotkać z Donaldem Trumpem, ale jakoś nie wyszło. Ponoć dlatego, że po dwóch próbach zamachu Secret Service bardzo starannie analizuje każde miejsce, w którym republikański kandydat ma się pojawić, a sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown to ryzykowny teren. Wyjątkowo zgadzamy się z ludźmi Trumpa: miejsce zwane amerykańską Częstochową musi być niebezpieczne; łączy w sobie dwa najbardziej toksyczne zjawiska świata. Na pocieszenie Duda spotkał się z dziennikarką Polsat News i wyjaśnił jej, że każdy, kto stawia warunki wstępne dla przystąpienia Ukrainy do UE, gra w orkiestrze Putina.

♦ Na koniec jeszcze słowo o wojnie. Ale nie tej, co myślicie. Donald Tusk wypowiedział wojnę bobrom. Czasami trzeba wybierać między miłością do zwierząt a bezpieczeństwem miast, wsi i stabilnością walców – orzekł premier. I dodał, że trzeba szybkich zmian, jeśli chodzi o obecność bobrów na walcach. Po czym pochwalił się: Kiedy myśmy w 2010 r. podejmowali decyzje, ekolodzy byli wnerwieni. Naszym zdaniem, właśnie o to chodzi: teraz, kiedy premier odgrywa twardego szeryfa – czyli rolę z natury swojej prawacką – postanowił pokazać elektoratowi PiS, który usiłuje uwieść, że będzie twardy także wobec ekoterystów. Teraz czekamy na zrobienie porządku z ideologią LGBT. A tak na marginesie: walka z bobrami nie wymaga radykalnych środków. Wystarczy przykryć wały metalową siatką. Z pedałstwem tak łatwo nie pójdzie.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czerwiec 2012 r.

Świętej Blandyny

Zgodnie z modą na podsłuchy założyłem podsłuch mojej żonie. No i mam. Północ, ona dzwoni do przyjaciela: – Kolacja jak kolacja. Było osiem dań, ale wszystkie na jedną nutę. Foie gras z zielonymi truskawkami, dorsz pływający w kompocie czereśniowym, wątróbka cieleca z malinami i jeżynami, wolno gotowana pianka, słodka, o niewiadomym smaku i frytki z rabarbaru. Na deser wytrawny zlodowaciały jogurt. Ale, ale, a jak tam twoja żona? Masz rację. Najwygodniej umrze sobie w hospicjum. Co u nas? A u nas niestety meszki.

Świętej Klotyldy

W domu tragedia. Pudel Azor ogłosił strajk głodowy. Nie je trzeci dzień, a żądań nie przedstawił. Chodzę na czworakach i udaję, że chcę mu wyżyć kolację z miski, żona mnie bije, odgania, krzyczy, udając, że broni przede mną posiłku Azora. Pudel gapi się obojętny na nasze wygłupy. Przedstawienie na nic. Może zeżreć wędzoną pierś kaczki? Nie. Tatar z polędwicy, z łososia, pieczony kurczak? A gdyby tak wołowina złapała lekki smrodek – dyskutujemy. Nic. Azor nie żre. Zabieramy kotu głowę myszy, zawsze świeżyzna. Azor krzywi się z obrzydzeniem. I wreszcie metoda prób i błędów doprowadzono psa do przerwania strajku. Azor zeżreć zechciał luzowanego bażanta gotowanego w rosole z siebie. Marzę o tym, żeby Azor ze stadem wygłodzonych kumpi wyciągał ze śmietnika i zżerał plastikowe torby.

Malutki Kaźmierz córki na kursie psychologicznym dla piesków z dobrych domów uczył się, jak przetrwać Euro 2012. Zakochał się tam nieszczęśliwie w sucze. Suczka nie ma cieczki. Miłość jest platoniczna. Zwierzę cierpi.

Nadal św. Klotyldy

Tusk, Palikot, Pawlak, Miller – tyle wybitnych osobistości musiało zrywać się w sobotę z łóżka, aby być na dziewiątą nad ranem u Komorowskiego. A wszystko inscenizowane tylko po to, żeby Kaczyński tam nie przyszedł. Ja też zapraszany bywałem przez gospodarzy do różnych domów, ponieważ wiadomo, że moja obecność wystraszy innych gości.

Świętego Igora

Przez 45 lat Ruscy rządili Polską, a przez 25 wuj Leon na zebraniach partyjnych okłaskiwał przyjaźń polsko-radziecką. Teraz jako emeryt cały dzień gada, że przez Tuska Ruscy rządzą Polską. I nie pozwala synowi tankować auta na stacji Lukoil. Synek też stał się wyznawcą PiS i zapewnia ojca, że na rezerwie paliwa dotrwa do okupacji niemieckiej.

To są efekty oficjalnej propagandy kacystów. Trafiłem na ślad szeptanej. Sprzedająca kwiaty z grządek pani Józia informuje, że prezydent Komorowski to syn ukraińskich rezunów, którzy zamordowali hrabiów Komorowskich i ukradli ich srebra i nazwisko. Tusk zaś nie mówi w żadnym języku. Za to premier Jarosław, będąc w USA, przez półtorej godziny bez kartki przemawiał po angielsku i cały naród amerykański go słuchał przez telewizory. – A cóż ten naród usłyszał? – Że nadejdzie ten dzień i Polska będzie wolna jak Ameryka. Szeptanka PiS już ucicha, bo piwonie się kończą.

Świętego Norberta

Nie mogę zablogować, co naprawdę robię, gdyż spiskuję, ani co myślę o tym wszystkim, ponieważ nic. Mogę zdradzić, czego nie robię. Nie jadę do Moskwy na Światowy Szczyt

Mediów, chociaż zostałem zaproszony. Podziękowałem, ponieważ nie władam nogami, rosyjskim i angielskim. Ale chwałę się zaproszeniem, gdyż Kreml zdyskryminował Rydyzka. Niezaproszony.

Nie czytam „Promieniowań” Ernsta Jüngera, który teraz jest obowiązkowy. Lubię snobizm, ale własny, a nie cudzy. Przeczytałem ze smakiem trzy sztuki Słobodzianka o proroku Ilji z udziałem bimbru, cara Miłkołaja, Rothschilda i Chrystusa ze słomy. Gdy Palikot zostanie premierem, to Andrzej Rozenek mianuje takiego prezesa TVP, który wystawi „Naszą klasę” Słobodzianka.

Czytam, pełen sentymentu, wspomnienia Wacława Solskiego. On naprawdę nazywał się Pański i był bratem Jerzego Pańskiego, który wpięrował rznął moją ciotkę Różię, a potem, kiedy był prezesem TVP, jej córkę jedyną. Pański wystawiłby Słobodzianka. Ich brat, trzeci Pański Antoni, kierował kinematografią radziecką za czasów Pudowkina i Eisensteina. Niezły był miot dr. Pańskiego, żydowskiego psychiatry z Łodzi.

Ma się ukazać po polsku „Mein Kampf” Hitlera, a też współpracuję przy robieniu książki o mnie. Podejrzewam, że IPN sporządzi wstęp krytyczny do Hitlera, będzie więc z czego się pośmiać. Napiszą, że Stalin był większym zbrodniarzem, ale nie dodadzą, że pisarzem zdolniejszym od Adolfa. Na młodzieńczej poezji Koby Dżugaszwilego wzoruje się dziś Rymkiewicz. Niestety jest mniej liryczny, niż był Stalin. Ten wieszcz wydziela błyski tandetne jak migotanie kryształów Swarovskiego.

Św. Gilberta

Za Gierka kopało się piłkę, żeby wydobywać węgiel. Teraz kopie się piłkę, żeby wydobywać szowinizm. □

PRASA ŚNIADANIOWA

- Jak informuje Wp.pl, okazało się, że „**fortepian Paderewskiego**” nie jest fortepianem Paderewskiego. Dokładnie tak działa rynek relikwii i jakoś nikomu to nie przeszkadza.
- **Elon Musk** opublikował swój wiersz rozpoczynający się od słów: *Ateizm pozostawił pustą przestrzeń*. Ten rodzaj poezji tradycyjnie nazywamy czarną dziurą.
- Jak podaje Press.pl, powódź nie spowodowała **odpływu widzów** programów rozrywkowych. Odpływ widzów wystąpi podczas suszy.
- **Mariusz Błaszczak** zarzucił rządzącym kierowanie się religią klimatyczną. Deszczu nasz, któryś jest w niebie...
- **30 artystów** stworzyło nową wersję piosenki „Moja i Twoja nadzieja”. Jeszcze parę powodzi i będzie z czego dolożyć do emerytury.
- **Rzecznik prasowy MSWiA** ujawnił 117 incydentów dotyczących fałszywych zbiorek na powodź. Prosimy nie wpłacać na chorą powódź.

MARTA M.



LISTONOSZ DONIOŚŁ

Szanowna Redakcjo „NIE”

Kilka tematów poruszonych w numerze nr 38 wywołało u mnie konieczność odniesienia się do nich. Niezależnie od tego faktu pojawiło się w przestrzeni publicznej pojęcie „demokracji walczącej”, do którego odniosło się wielu publicystów uważających, że prowadzi to do nadużycia praworządności. A według PiS-u prowadzi nawet do zamachu stanu. Nie ma chyba potrzeby przeprowadzania procedury dowodowej, że właśnie działania władzy opartej na tej partii praktycznie w praworządności praktycznie dla polskiego porządku prawnego były właśnie zamachem. Natomiast chciałbym się odnieść do jednego z artykułów zamieszczonych w przywołanym powyżej numerze autorstwa Piotra Ikonowicza, który w swoim mniemaniu uważa, że demokracja walcząca Tuska jest zagrożeniem dla praworządności w Polsce. Chciałbym P. Ikonowiczowi przypomnieć jego działania w obronie eksmitowanych przez komorników w towarzystwie policjantów lokatorów zadłużonych mieszkańców. Otóż te działania, niewątpliwie uzasadnione w sytuacji

tych lokatorów, jednak przeszkadzały funkcjonariuszom w wykonywanych czynnościach. Zatem poszukiwanie przez P. Ikonowicza sprawiedliwego rozwiązania w opisywanej sytuacji można zakwalifikować do działań, które można chyba nazwać demokracją walczącą. P. Ikonowicz zinterpretował prawo po myśli sprawiedliwości społecznej i chyba nie może mieć on (jak i inni puryści) pretensji do D. Tuska, gdy on będzie interpretował przepisy by odzyskać praworządność opartą na wartościach.

W przywołanym numerze jest również doskonały artykuł prof. J. Hartmana, ponieważ o J. Kaczyńskim (choć jego nazwisko nie pada), który na sposób dyktatorski i łajdacki budował mafię w formie partii politycznej. Jak zatem postępować w sytuacji, gdy prawo (i niektóre instytucje) są w dużym stopniu ujęte w tryby przepisów i działań quasi mafijnych. O ile wcześniej była mowa o demokracji walczącej, to w drugim przypadku mamy chyba do czynienia z demokracją łajdacką.

P. Ikonowicz w swoich wymienionych powyżej działaniach przy tak bezdusznych przepisach czuł się bezradny i wybrał sposób postępowania

sygnalizujący popelnianą niesprawiedliwość. Sprawa, przed którą stoi D. Tusk, jest, co oczywiste, zupełnie innej wagi i rodzaju, a przepisy i instytucje stworzone przez łajdacką demokrację jeszcze bardziej utrudniają zadanie. Szkoda, że P. Ikonowicz tak się martwi wymyślonymi przez siebie skutkami demokracji walczącej, a demokracja łajdacka i jej skutki dla Polaków już go zdecydowanie mniej go boją.

W moim osądzie demokracja walcząca jest niczym innym niż interpretacją odpowiednich przepisów i to wbrew niektórym dziennikarzom jest słuszną drogą przełamania stworzonego przez łajdacką demokrację muru.

Jestem czytelnikiem Waszego pisma prawie od samego początku. Obecna forma i treść zamieszczanych artykułów jest zdecydowanie poważniejsza i chyba trochę mniej w nich jest wulgaryzmów (w obu przypadkach słuszny kierunek). Redakcja została poszerzona o nowe nazwiska, które wzmocniły czasopismo. Mam obawę, że RedNacz jest zbyt skostniała w swoich fobiach i poglądach. Może się zmienić pod wpływem J. Senyszyn, która chociaż starsza, jest nowocześniejsza w poglądach.

Z ukłonami i pozdrowieniami dla całej Redakcji – Krzysztof Knapik Kraków, 22.09.2024

**NUMEREK
ROCZNICOWY**

Czy trzydzieści, dwadzieścia albo choćby pięć lat temu ktoś wyobraziłby sobie „NIE” bez Urbana?

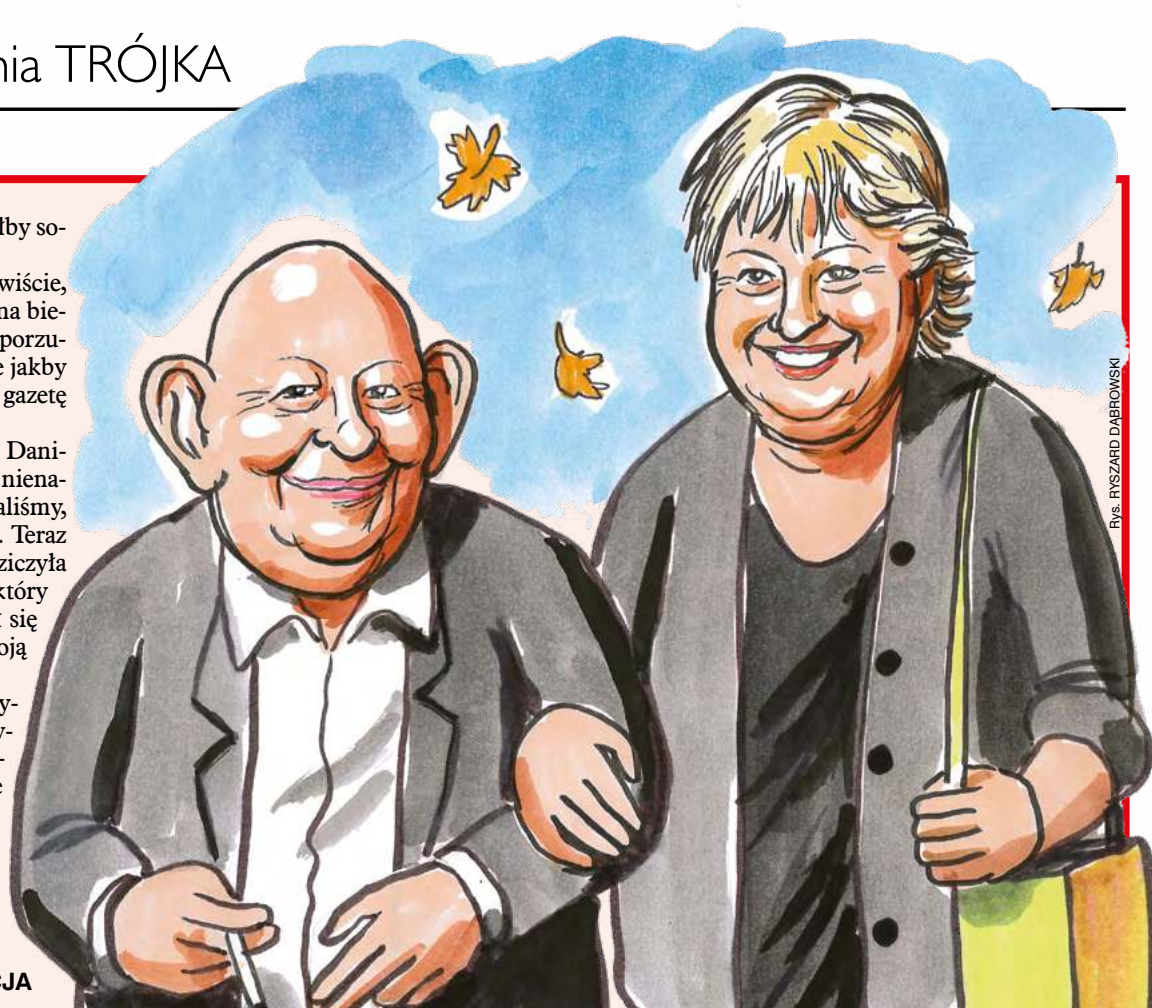
Urban wziął nas jednak podstępem. Zaczął umierać jakoś tak nieoczywiście, na raty. Najpierw była pandemia, więc zanikły kolegia, potem przestał na bieżąco kierować gazetą, następnie ogłosił, że przestaje pisać bloga, później porzucił felieton – tłumacząc, że póki co czuje, że nie ma nic do powiedzenia, ale jakby kiedyś poczuł, że znowu ma... A myśmy nadal pisali, redagowali i wydawali gazetę czekając, aż Łysy się zbierze.

A kiedy dwa lata temu, 3 października 2022 r., okazało się, że jednak się nie zbierze – Małgośka Daniszewska postanowiła, że nadal będzie wydawać „NIE”, jako rodzaj papierowego pomnika. Urban nienawidził pomników, ale do papieru miał nieuleczalną słabość, więc uznaliśmy, że jest OK – i dalej pisaliśmy, redagowaliśmy, wydawaliśmy. Równy rok później, 3 października 2023 r., odmeldowała się Gośka. Teraz naprawdę już nie wiedzieliśmy, co dalej, więc – wraz z jej córką, Martą Miecińską, która odziedziczyła tytuł – pisaliśmy, redagowaliśmy, wydawaliśmy; niejako z rozpędu. Głównie Waldek Kuchanny, który pokierował gazetą na prośbę Gośki po śmierci Jurka. Minęło dziewięć miesięcy – i 1 lipca zwinął się Waldek. Uważamy, że jest jakaś pula nieszczęść, które mogą spaść na jedno miejsce – i my już swoją wykorzystaliśmy.

„NIE” zawsze pozostanie pismem Jerzego Urbana. Zawsze będziemy wracać do jego tekstów, przypominać jego historię (patrz niżej), cytować jego złośliwości. Zawsze będziemy się trzymać jego życiowej filozofii wyrażonej w tytule pisma. Zawsze też pozostanie w nas coś z Daniszewskiej i Kuchannego. Zmieniają się tematy, wrogowie, władza i opozycja, i my też się zmieniamy – ale zawsze będziemy wierni jednej zasadzie: gazeta jest dla Czytelników. Nie dla reklamodawców, nie dla łaskawej władzy, nie dla tzw. środowiska, które wzajemnie kołyszcie sobie jaja albo przegrzyza gardła w zależności od nastroju i aktualnych politycznych afiliacji. Nie mamy reklam, nie mamy rządowego wsparcia, a środowisko mamy w dupie – z wzajemnością.

W drugą rocznicę śmierci Urbana i pierwszą rocznicę śmierci Daniszewskiej – która jest zarazem 34. rocznicą urodzin tygodnika „NIE” – polecamy się łaskawej pamięci.

REDAKCJA



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Cynik prawdopodobnie narodowości żydowskiej

Urban w kwitach IPN

– Panie redaktorze, nie zlustrowałby mnie pan?
– zwrócił się do mnie 10 lat temu Jerzy Urban.
Ależ oczywiście.

Lustrowanie lustratora

Pójść do IPN i poprosić o wszystko, co jest na Urbana, z dnia na dzień się nie dało. Co prawda z wnioskiem o udostępnienie dokumentów w celu publikacji materiału prasowego mogła wystąpić każda zainteresowana osoba, tyle że musiała mieć upoważnienie redakcji albo wydawcy. Na szczęście na stronie IPN był formularz wniosku do pobrania. Potrzebne były dane moje i mojego dowodu osobistego. Poza tym IPN domagał się informacji dotyczących publikacji materiału prasowego, konkretnie zaś tematu materiału prasowego. Skrobnąłem więc: Jerzy Urban w oczach bezpieki.

Potem mieliśmy z Urbanem zagwozdkę. IPN chciało bowiem danych ułatwiających odnalezienie dokumentów. Konkretnie zaś – znanych wnioskodawcy sygnatur, a także informacji dotyczących uczestników i chronologii wydarzeń. Przeczytaliśmy to z Urbanem po trzykroć i nie znając sygnatur ani chronologii, już byśmy się poddali, gdyby nie to, że były to sprawy, kiedy telefonów nie odbierała sztuczna inteligencja. Miły pan, do którego dozwoniliśmy się w IPN, powiedział, żeby się nie wyluzować, tylko napisać dane personalne osoby, o którą nam chodzi. W ten sposób rubryczka została wypełniona zdaniem Jerzy Urban, syn Jana, ur. 3 sierpnia 1933 w Łodzi. Urban podpisał upoważnienie redakcji, a ja – przyjmując do wiadomości, że ponoszę odpowiedzialność prawną – wniosek o udostępnienie. Potem w samochód, zostawić kwity na dzienniku podawczym i parę tygodni czekać.

Aż w końcu telefon, że mogę się zgłosić i pooglądać wszystko na monitorku.

Każdy na każdego

Z poźółkłych kartek z niemal niewidocznym tekstem zaczęła wychodzić historia.

Wedle wpisu z roku 1962, Urban do 1941 r. występował pod nazwiskiem Urbach. W kolejnej notce SB pojawia się zapis, że w latach 1940–1941 posiadał on obywatelstwo radzieckie. W 1941 r. z bliziej nie znanych powodów zmienił sobie nazwisko z Urbach na Urban (jest prawdopodobnie narodowości żydowskiej).

Potem kilkuletnia luka, by znaleźć dokument mówiący, że Urban przenosi się do Łodzi. W 1948 wstępuje do ZMP gdzie pełni szereg funkcji organizacyjnych. Kolejne akta ujawniają, że Urban zaprzyjaźnił się z obserwowanym przez służby Andrzejem Berkowiczem. We dwóch rozpoczynają studia na Uniwersytecie Warszawskim. Według jednych raportów bezpieki Urban rezygnuje ze studiów

po trzech latach w roku 1954. Według innych wylatuje z uczelni w 1959 r. Jak na źródło najprawdźniejszej prawdy dla tropicieli komunizmu, akta bezpieki kolejny raz udowadniają, że są mocno nieprecyzyjne.

Bezpieka odnotowuje jednak, że Urban od 1951 r. do 1955 r. pracuje na umowie zleconej w redakcji „Nowa Wieś”. Od lipca 1955 r. pracuje w redakcji „Po prostu” na stanowisku publicysty, a od stycznia 56 r. na stanowisku kier. działu politycznego. Po rozwiązaniu redakcji „Po Prostu” przystąpił ponownie do pracy w redakcji „Nowa Wieś”.

Jest też esbecka notatka mówiąca, że w roku 1956 Jerzy Urban był trzy tygodnie w Izraelu na zaproszenie redakcji „Nowiny Poranne” (W Izraelu mieszkała dwie ciotki wymienione – nazwisk brak/ Wracając z Izraela Urban odwiedził Italię, Szwajcarię i Austrię.

Dlaczego SB zajmowała się Urbanem w tym czasie, nie do końca wiadomo, ale wiele wskazuje, że powodem był jego przyjaciel Andrzej Berkowicz, który pod koniec lat 50. wybrał się na Zachód. Wywiad PRL namierzył go w czasie spotkań z kołami emigracyjnymi i – co gorsza – z rezydentami zachodnich wywiadów funkcjonujących w Niemczech. Berkowicz po powrocie do kraju został poddany rozpracowaniu. Wraz z nim pod lupę załapał się więc i Jerzy Urban.

Za zdrowie donosiciela!

W 1962 r. Urban pojawia się w donosie za sprawą przyjaciela, ale tym razem poznajemy nieco jego krąg towarzyski: Andrzej Berkowicz nie utrzymuje specjalnie szerokich przyjacielskich stosunków z ludźmi. Chętnie z każdym gotów jest wypić wódkę (ma poważne skłonności alkoholowe), ale do grona najbliższych przyjaciół zalicza on chyba tylko Jerzego Urbana (drugi cynik, wychowanek „Po Prostu”), Kazimierza Dziewanowskiego (red. „Świat”) i Ryszarda Koma (red. „Nowa Wieś”). Kiedyś zaliczał się również do nich Henryk Holland mieli zresztą wspólne znajomości za granicą/.

Na Urbana donosili k.o. „Ryszard”, k.o. „Stanisław” i parę innych osób. SB dostawało też zwykłe anonimy: Berkowicz b. pracownik „Po prostu” dziennikarz (alkoholik bliski przyjaciel młodego Urbana też pracownika b. „Po prostu”;

**obydwaj zresztą krytycznie
ustosunkowani do aparatu
władzy i zarządzeń pań-
stwowych – wyrażają się
niejednokrotnie złośliwie
na te tematy.**

Najbliższe otoczenie Urbana składało się z osób tak charakteryzowanych przez k.o. „Stanisława” w raporcie z 30 marca 1965 r.: J.S. (w materiałach IPN pełne brzmienia imion i nazwisk – TJ) – alkoholik, za wódkę gotów sprzedać najbliższego człowieka, znany z tego w środowisku dziennikarskim. Ma wiele kontaktów wśród dziennikarzy zagranicznych, prowadzi z nimi nielegalny handel. Ma codzienne wizyty jakichś obcokrajowców. Zona znając jego słabość do alkoholu, gdy są jacyś goście lub przyjdzie jakiś dziennikarz albo inny kolega wysyła męża po wódkę a w tym czasie odbywa z gościem stosunek seksualny.

Bratkowski Stefan – bardzo często wyjeżdża za granicę, nadal utrzymuje kontakty z b. poprostowcami. Zdolny dziennikarz, energiczny, rzutki. Lubi być blisko ludzi robiących „wielką politykę”. Jednakże sam nie jest do tego zdolny.

PI. – bez żadnych hamulców moralnych, co noc zmienia kochankę, robi to dla sportu i zabawy. Obraca się w kręgu b. poprostowców.

FD. – z grupy „Po prostu”, zdolny dziennikarz, uważany za wielkiego cwaniaka życiowego. Ma przychaj

wykorzystywać stanowisko w redakcji dla zataśniania swoich prywatnych interesów. Przyjacielem jego jest Rakowski. Obaj żądali przyznania im przez SD pokoju dla odbywania schadzek z kobietami. Dość dużo zarabia, m.in. robiąc przedruki z mniej poczynnych gazet, które podpisuje swoim nazwiskiem. Niestety wątek alkoholowo-erotyczny się w kwitach esbecji urywa.

Komandosi z Kaprysu

Berkowicz powraca w donosach dopiero po paru latach. Według notatki z końca 1967 r.: Kontakt figuranta z Urbanem ma charakter stały. Wymienieni są z sobą życia, zaprzyjaźnieni. Prowadzone przez nich rozmowy telefoniczne nie zawierały momentów, które świadczyłyby o postawie politycznej rozmówców, ani też danych z których wynikałoby ażeby figurant prowadził działalność szkodliwą dla PRL. Widać jest, że figurant tego typu rozmów przez telefon unika.

W 1968 r. k.p. „Żbik” informuje SB, że Urbana bardzo często spotyka w towarzystwie redaktorów Skalskiego i Iwaszkiewicza z „Głosu Pracy” i Oldakowskiego z „Orbisu”. Wymienieni spotykają się na terenie redakcji „Głosu Pracy” wzgl. Kawiarni „Kaprys”. W każdą niedzielę wyjeżdżają wspólnie na wycieczki poza Warszawę. W okresie wystąpień marcowych Iwaszkiewicz został zatrzymany przez organa porządkowe przed kinem „Kultura” podczas zajęć jakie miały miejsce wewnątrz kina. Biorąc pod uwagę kontakt Urbana z Michnikiem, nie należy wykluczać, że Iwaszkiewicz w okresie zajęć marcowych mógł spełniać rolę organizacyjną, działając na rzecz tzw. „komandosów”.

Adam Michnik pojawia się odtąd kilka razy. W „Życiu Gospodarczym” Michnik był usadowiony najmocniej (pisał stały felieton) za sprawą Ambroziewicza Urbana i Chelstowskiego (który jest tam sekretarzem redakcji). W pewnym momencie tej współpracy naczelny redaktor „Życia Gospodarczego”, został o wszystkim poinformowany i milcząco zaakceptował współpracę Michnika (nawet odbył z nim jakąś rozmowę przy udziale Jerzego Urbana i Stanisława Chelstowskiego).

Ubawiony Kiszczak

W kwietniu 1969 r. Andrzej Berkowicz wyjeżdża z Polski, z biletem w jedną stronę. Donos k.p. „Żbika” wskazuje, że alkoholowo-wycieczkowe towarzystwo Urbana się rozpada. Skład kontaktów towarzyskich figuranta sprawy krypt. „Lichwiarz”, w skład którego wchodził m.in. Jerzy Urban, Ernest Skalski i Jerzy Iwaszkiewicz zaczyna się zmniejszać. Kontakty między nimi uległy jak gdyby rozluźnieniu i sprawiają wrażenie zaniku.

Potem w donosach zrobiło się nudno. Bezpieka starała się połączyć Urbana z podejrzanym o szpiegostwo Colinem Buddem, drugim sekretarzem Ambasady Wielkiej Brytanii w Warszawie, ale nie wyszło. Gdy Urban dostał kierownicze stanowisko w redakcji „Polityki”, objął go parasol ochronny Rakowskiego. Donosów na Urbana odtąd brak.

Pokazałem Urbanowi wszystkie sfotografowane dokumenty. Bawił się doskonale, gdy czytał o niegdysiejszych znajomych i rozszyfrowywał donosicieli. Załował tylko, że skoro już tyle wysiłku SB włożyło w inwigilację jego znajomych, to dlaczego nie podstawili im jakiejś „Różycki”. Na koniec analizy kwitów z IPN Urban uśmiechnął się i powiedział: – Kiszczak, spotykając się z ludźmi po raz pierwszy, miał zwyczaj wiedzieć o nich wszystko, co było w teczkach SB. Teraz rozumiem, dlaczego podczas naszego pierwszego spotkania był cały ubawiony.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pisownia cytatów oryginalna

Plan był kuszący. Prezydent Andrzej Duda miał wreszcie przejąć inicjatywę polityczną. Najpierw skierowałby uchwaloną niedawno ustawę budżetową do Trybunału Konstytucyjnego. Uzasadniając, że ma ona wadę prawną. Bo została uchwalona przez sejm pracujący w niekonstytucyjnym składzie. Bez udziału dwóch posłów Kamińskiego i Wąsika.

Już wcześniej prezydent Duda skierował do trybunału kilka innych ustaw, tak samo argumentując ich rzekome wady. Jedną z nich, o Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, ów trybunał już zakwestionował.

Gdyby zakwestionował też ustawę budżetową, to wtedy prezydent Duda dostałby potężnego wiatru w swe polityczne żagle. Bo jeśli Sejm RP nie uchwaliby w terminie ustawy budżetowej, to zgodnie z konstytucją prezydent mógłby rozwiązać parlament. I doprowadzić do przedterminowych wyborów.

Oczywiście trzeba zapytać, po co obecny parlament prezydent miałby rozwiązywać, skoro wszystkie sondaże nie dają opozycyjnej prawicy szans na zyskanie większości w nowym parlamencie.

Ojciec polskich spraw

Według kusicieli byłaby to klasyczna ucieczka do przodu. Wyjście z zabetonowanego politycznie rezerwatu Zjednoczonej Prawicy. Pozbawienie przywództwa Kaczyńskiego jeszcze przed wyborem prawicowego kandydata ubiegającego się w przyszłym roku o fotel prezydenta RP.

Nowym patronem odnowionej polskiej prawicy miał być prezydent Duda. Jeszcze w tym roku, zanim w sierpniu przyszłego wygaśnie mu prezydencki mandat. Miał zostać ogłoszony ojcem politycznej „koalicji polskich spraw”. Złożonej z licznych parlamentarzystów niezadowolonych z rządów prezesa Kaczyńskiego w Zjednoczonej Prawicy, polityków popularnej Konfederacji i nawet grupy obrotowych działaczy PSL. Niezadowolonych z mariażu z liberalną Polską 2050.

Taka koalicja pozwalałaby uciec młodszemu, ambitnym postaciom Zjednoczonej Prawicy od partii Kaczyńskiego. Pozbawienie właśnie części finansowania z budżetu państwa, czyli coraz mniej atrakcyjnej. Skłóconej wewnętrznie. Niezdolnej do zawierania koalicji z innymi partiami. I do tego jeszcze obciążonej korupcją, złodziejstwem budżetowych pieniędzy, cwaniactwem i pazernością firmowanymi przez europosła Ryszarda Czarneckiego.

Taka „koalicja polskich spraw” miałaby status nowej formacji politycznej, nieodpowiedzialnej za przekreśły i błędy starego PiS. Dałaby nowe życie politykom Solidarnej Polski zagrożonej politycznym anshlusem prezesa Kaczyńskiego.

A przede wszystkim dałaby nowe polityczne role ustępującemu prezydentowi Dudzie i jego współpracownikom. To oni podobno namówili Dudę do spotkania z kandydującym na prezydenta USA Donaldem Trumpem. Aby wzmocnić wizerunkowo przyszłego patrona i lidera „koalicji polskich spraw”.

Pozalewani

Do rozwiązania sejmu wzywał publicznie jeszcze w zeszłym tygodniu prawicowy polityk, dyrektor Instytutu Piłsudskiego, były poseł Porozumienia Centrum i Ruchu dla Rzeczypospolitej, magister Andrzej Anusz. Na łamach prawicowego tygodnika „Do Rzeczy”. Znanego też z negocjowania istnienia katastrofy klimatycznej.

Powódź zalała też polskich polityków

Ostatnie kuszenie Dudy



Niestety, zaraz potem katastrofa klimatyczna pokazała pazurki. Wielka powódź zalała Polskę i przy okazji polską klasę polityczną. Zwłaszcza polską prawicę negującą szybkie zmiany klimatyczne. Uważane przez nich za jedynie wymysły lewactwa i neomarksizmu.

Pomimo pierwszych fali powodzi prezydent Duda trzymał się planu Anusza i pisał na zorganizowanych mu prezydenckich dożynkach. Potem, jako wstrząśnięty, lecz niezmienny, wyjątkowo racjonalnie uzasadnił swą nieobecność na zalanych terenach. Przecież niewiele by pomógł poszkodowanym. A jego wizyta wymagałaby dodatkowej asysty służb niezwykle potrzebnych w walce z żywiołem. Rzekł prawdę, co rzadko mu się zdarzało.

A kiedy już pojawił się na wałach przeciwpowodziowych, to jedynie dowiódł swej bezużyteczności. Bo nie były to Wały Jasnogórskie, gdzie prezydent Duda czuje się jak ryba w wodzie.

Tak to

wielka woda zmyła misterny plan anuszowców. Przyspieszenia budowy „koalicji polskich spraw”. Bo tworzenie nowej partii za pomocą rozwalenia budżetu państwa w czasie katastrofalnej powodzi to przepis na samobójstwo polityczne. Tak to polskie wody przykryły polskie sprawy.

I na nadziei, że przyszłą alternatywą wobec znienawidzonego Tuska będzie wiecznie żywy prezes Kaczyński i jego PiS.

Premier ratownik

Na razie wszelkie najnowsze sondaże potwierdzają niezłomne poparcie dla premiera Tuska na poziomie 40 proc. plus. Gdyby doszło teraz do wyborów, to rządząca koalicja zyskałaby więcej mandatów w sejmie i senacie.

Podobne poparcie odczuwane jest pośrednio w sondażach pytających obywateli naszego państwa, czy opozycja powinna krytykować rząd w czasie usuwania skutków powodzi. Otóż prawie połowa ankietowanych nie życzy sobie takich krytyk. Chce tradycyjnej, staropolskiej zgody postulowanej zawsze w czasie narodowych katastrof.

Typowej napierdalanki politycznej chcą jedynie pravicowi ultrasi szacowani na kilkanaście procent potencjalnych wyborców. Oni też znają podobnych, równie licznych protuskowych ultrasów podkreślających nienawiść i często też wszczynających takie napierdalanki w internecie.

Ponieważ powódź nie zalała Wrocławia i Opolą, to wykreowany na wielkiego głównodowodzącego premier Tusk może już dyskretnie kreować też wizerunek swych sprawnych rządów. No i wszecobecnego, zatroskanego i decyzyjnego premiera przebranego w ciuchy ratownika.

Taki premier ratownik ochotnik najwięcej krytyki budzi rzecz jasna wśród opozycyjnych ultrasów. Ale, o dziwo, wiele też hejtu dostaje od swych wyborców, dotychczasowych zwolenników. Przede wszystkim wielkomiejskiej inteligencji zniesmaczonej populistycznym stylem uprawianej przez Tuska polityki, piarowskimi zagrywkami dla plebsu.

Ich zdaniem poważny premier powinien zarządzać z Warszawy poprzez właściwych ministrów i służby, ubrany jak normalny europejski premier, a nie jak ukraiński prezydent. A ten styl obraża ich inteligencję, demokratyczny etos, zniesmacza ich „kwestię smaku”.

Jednak taki styl zmilitaryzowania kryzysu, osobistego nadzoru niemrawych urzędasów i szybkich, niekonwencjonalnych decyzji podobna się Polsce powiatowej. Ludziom mniej formalnie wykształconych, starszych wiekiem.

W takiej Polsce od lat mundur budził respekt i szacunek. Na powszechnym sentymencie do munduru marszałek Piłsudski dokonał zamachu stanu, a generał Jaruzelski zdobył poparcie dla stanu wojennego.

Do tej pory Donald Tusk nie miał poparcia na polskiej prowincji. Czy na fali popowodziowej zyska też poparcie w matecznikach politycznych PiS?

PIOTR GADZINOWSKI

PS Osobom poszkodowanym przez powódź władza obiecuje też pomoc psychologiczną. Może rozszerzyć ją na polskie elity polityczne i medialne?

MÓZDZEK TYGODNIA

Pisowski eurodeputowany Dominik Tarczyński ma akurat tyle potencjału intelektualnego, żeby trafić do toalety i nie pomylić kaka z papu. Na rzeczywistość spogląda zza kłapek, na każdym kroku widząc lewaków, terrorystów, wrogów chrześcijaństwa i szkodzących Polsce Niemców. Kiedyś w polskim sejmie mówił bezrozumnem: *Nie każdy muzułmanin jest terrorystą, ale każdy terrorysta jest muzułmaninem.* Teraz, w parlamencie europejskim, też mówi bezrozumnem – o powodzi.

Zaczyna patriotycznie: *Z dumą też chciałbym mówić w swoim języku ojczystym, ponieważ to, co dzieje się teraz w mojej ojczyźnie, w Polsce, to ogromna tragedia.*

Zaraz jednak skręca na swoje ulubione drogi prowadzące do ulubionych obsesji: *Tę ogromną zalewę, wręcz potop, wielkie potowidzie mają miejsce m.in. dlatego, że szalenstwo ekoterroryzmu zostało dopuszczone do głosu. Lewactwo, które popiera i popierało organizacje ekoterrorystyczne, bo tak trzeba je nazywać, organizacje, które przeciwstawiały się budowie infrastruktury przeciwpowodziowej, to są ludzie odpowiedzialni za to, co teraz dzieje się w Polsce i tej części Europy.*

Na koniec Tarczyński snuje wniosek logiczny i świątły jak tabaka w rogu: *Niemiecki wywiad próbował zwerbować jednego z ekologów, działaczy ekologicznych, aby protestował przeciwko inwestycjom w Polsce. To jest wojna wywiadów, a ekoterroryzm jest wykorzystywany przeciwko rozwojowi takich państw jak Polska.*



ETYKA BEZBOŻNA Przezorny, czyli dumka cimoszewiczowska

Czasem tak bywa, że po człowieku zaśluzonym, ciężko pracującym przez całe życie, tworzącym i niepospolitym zostaje ledwie jakiś jeden drobiazg. A w dodatku ten drobiazg to może być błąd. A dwuznaczny w swym wyrazie cytyk. Taki los może spotkać szacownego polityka lewicy, Włodzimierza Cimoszewicza, któremu życzymy wiele zdrowia pośród żubrów i pograniczników w białowieskiej kniei, choć wydaje się, że wślawił się najbardziej i w pamięć potomnych wrył swoją radą dla powodziarzy pamiętnego roku 1997, aby się mianowicie ubezpieczali. Rozumna ta, acz jakby nieco mało empatyczna i nie w czas wypowiedziana uwaga kosztowała ówczesnego premiera utratę stanowiska. Nieproporcjonalność co się zowie!

Skakanie ludziom na plecy z powodu jakiegoś głupstwa czy drobiazgu to niebłahy temat dla bezbożnego etyka i obiecuję się nim zająć przy innej okazji, natomiast dzisiaj chciałbym wrócić do owej delikatnej sprawy, jaką jest odpowiedzialność człowieka za nieszczęścia, które go spotykają. W czystym kapitalizmie jest tak, że się ubezpieczasz i je-

śli masz dobrą polisę, to sobie wszystko odbudujesz po powodzi czy pożarze; a jak polisy nie masz, to idziesz pod most. W socjalizmie zaś mieszkasz w państwowym, więc cię nie obchodzi – rząd ci odbuduje. Natomiast w ustroju populistycznym, czyli takim, gdzie władza kupuje głosy za gotówkę, jest jakby na krzyż. Mieszkasz wprawdzie na swoim, a nie w państwowym, jednocześnie zaś tak jak w kapitalizmie możesz dostać polisę i tak jak w socjalizmie – i tak cię odbudują za państwowe. W takim kraju (a Polska się do tej kategorii zalicza) właściwie można nawet na kataklizmie zyskać. Nie jest to może model najczęściej spotykany, ale się zdarza. Na przykład był brzydki i stary domek, a za dwa lata jest nowy i piękny. Trochę dało państwo, trochę ludzie, trochę ubezpieczalnia i jest – i to bez dużego wkładu własnego. To samo dotyczy poniekąd i zniszczeń publicznej infrastruktury. Kłódzko i Łądek były piękne i za kilka lat będą jeszcze piękniejsze. Aż do następnej powodzi. W kraju, gdzie logika życia publicznego jest populistyczna, a więc władza robi to, co podoba się ludziom i wy-

16 baniek za nie tego Bruegla

Polskie muzea jak żona milionera w poszukiwaniu prestiżu

Wpadła mi w ręce analiza zakupów dokonywanych przez warszawski Zamek Królewski, Wawel i kilka innych placówek za czasów kaczynizmu. Wynika z niej, że najważniejsze polskie muzea zachowywały się jak żona milionera, który dorobił się na handlu złomem, a teraz chce wejść do dobrego towarzystwa. Tyle że, zamiast kasy ze złomu, wydawały pieniądze podatkowników.

Kolega Antka z „Czarnej Jedyńki”

Czołową żoną milionera w szale zakupowym był dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie, odwołany niedawno właśnie w związku z tymi zakupami, Wojciech Fałkowski.

Fałkowski nie ma na swoją obronę – usprawiedliwionych u bogaczy z awansu społecznego – braków w wykształceniu. Jest historykiem, profesorem zwyczajnym nauk humanistycznych. Był także – i to zapewne kluczowe dla tej opowieści – wiceministrem w MON za czasów Macierewicza, z którym zna się z harcerstwa. Pod koniec 2017 r., kiedy nad Antonim zaczęły gromadzić się czarne chmury, Fałkowski wyładował komfortowo na stanowisku dyrektora Zamku Królewskiego w Warszawie.

Nawiasem mówiąc, konkurs na to stanowisko dwa lata wcześniej wygrała prof. Małgorzata Omiłanowska. Głiński ogłosił jednak, iż rada powiernicza Zamku, która wskazała Omiłanowską, może mu skoczyć: *Nic osobiście do niej nie mam, ale pełniła ona funkcję polityczną w poprzednim rządzie i w wyborach została negatywnie szweryfikowana...* Była to skądinąd jedna z wielu niedocenionych pereł szczerości prof. Głińskiego: otwarte wyznanie, że w państwie PiS weryfikacji politycznej podlegają stanowiska, które w przeciętnie normalnym państwie winny zależeć wyłącznie od kompetencji, warte jest uwiecznienia.

Wracając wszakże do prof. Fałkowskiego: Zamek pod jego kierownictwem wydał na zakupy 88 mln zł, czyli mniej więcej cztery razy tyle, ile inne państwowe instytucje kultury. Efekty tego szalu zakupowego opisuje ze szczegółami i niejaką namietnością historyk sztuki dr hab. Marcin Kaleciński, który poza swoją wiedzą fachową włożył w raport imponujący research dotyczący wcześniejszych losów zakupionych dzieł. Ocenę ich wartości artystycznej pozostawiam na boku, bo głównie z tego rozumiem (kto by pomyślał, że *obiegowy w formule retorycznej, barokowy panegiryk artystyczny* to coś dobrego?) – ale wykazana przez autora droga obrazów do polskich muzeów godna jest przekazania szerszej publiczności. Garść przykładów.

Staropolska gondola

„Triumf Polski – Projekt łodzi paradnej dla Fryderyka Krystiana Wettyna” Giovanniego Battisty Tiepolo. Rysunek jest – no właśnie – projektem weneckiej gondoli z 1740 r., wykonanym dla 18-letniego Fryderyka Krystiana Wettyna, który był synem Augusta III, który w wyniku zbrojnej interwencji Rosji został w 1733 r. królem Polski. Ten element Za-

mek dyskretnie przemilcza, a Kaleciński dodaje wrednie, że „*Triumf Polski*” w tytule dodany raczej marketingowo, ponieważ domniemyamy element polski sprowadza się do interpretacji czegoś, co może, ale nie musi (mówimy o trzyletnim rysunku wykonanym brązowym tuszem) być polskim herbem podtrzymywanym przez rycerza na dziobie gondoli.

„Postać żołnierza w zbroi all’antica” – szkic Rafaela z początku XVI w. kupiony od galerii Moretti za ponad 5,2 mln zł. Galeria kupiła go cztery lata wcześniej na aukcji Sotheby’s w Nowym Jorku za niespełna cztery bańki – czyli poniżej ceny wywoławczej, bo nie było chętnych. Odpowiedź na pytanie, czemu Fałkowski – który był już wtedy dyrektorem Zamku – nie kupił tego rysunku na aukcji, jest tak samo nieuchwytna, jak na to, po co w ogóle maleńki (26 na 17 cm) szkic został kupiony przez muzeum, które nie bardzo ma co z nim zrobić. Rysunek do *jednorazowej, krótkiej ekspozycji, potem na dłuższy czas powinien znaleźć się w magazynie* – ocenia Kaleciński, dodając, że *nie wiadomo o tradycji kolekcjonowania les primitifs italiens i Rafaela przez królów polskich w Warszawie, tym bardziej o istnieniu Gabinetu Włoskiego o takim profilu*. Zamek chwali się, że *jest to pierwsza praca Rafaela w polskich zbiorach* – co uzasadnia też o braku tradycji.

Madonna z dzieciątkiem i odcięta głowa

„Madonna z Dzieciątkiem” – obraz Paola Uccella z ok. 1430 roku. *To wyjątkowe wydalenie i ogromne przeżycie* – chwalił się Fałkowski podczas prezentacji obrazu, dodając: *Bardzo się o to starał, bardzo o to zabiegaliśmy*. Kaleciński przywołuje opowieści Fałkowskiego w korespondencji z Głińskim, jak to w osobistych negocjacjach z właścicielem zbijał cenę z 4,5 do 2,8 mln euro – co, jako żywo, wskazuje, że pierwotna cena była wzięta z sufitu. W końcu Fałkowski kupił sobie Madonnę rzutem na taśmę, na miesiąc przed wyborami, za 13 baniek; 9,9 mln zł pochodziło z rezerwy budżetowej. *Ciekawostka dla badaczy, o mało atrakcyjnej stronie wizualnej; Utopione bardzo duże pieniądze. Skandal* – pisze Kaleciński.

„Juliusz Cezar otrzymuje głowę Pompejusza” – pochodząca z początku XVI w. taca porodowa autorstwa Giovanniego Battisty Bertucciego. Tace porodowe to



coś w rodzaju malowanego talerza, na którym w renesansie bogatym kobietom w połogu wręczano różne drobne podarunki z radości, że nie umarły przy porodzie. Kto zdecydował, że optymalnym prezentem dla młodej matki i dzieciątka jest wizerunek oderniętej ludzkiej głowy, nie wiadomo; proveniencja tacy tak daleko nie sięga. Muzeum informuje radośnie, że jest *dobrze udokumentowana* – po czym zaczyna ją w roku 1881, czyli jakieś 300 lat po śmierci artysty. Nie informuje za to o najnowszych losach tacy, którą włoska galeria Antichita di Maurizio Mobile kupiła na aukcji Sotheby’s w 2020 r. za niespełna ćwierć miliona złotych (w przeliczeniu) – a dwa lata później sprzedała Zamkowi Królewskiemu za 842 tys. zł.

Takich interesów prof. Fałkowski zrobił znacznie więcej. XVIII-wieczną akwarelę Antonia Benciniego zatytułowaną „Król Jan III Sobieski w otoczeniu postaci w ogrodach Pałacu w Wilanowie” kupił na aukcji Christie’s w Nowym Jorku za równowartość 330 tys. zł, choć estymacja – wartość dzieła, szacowana przez ekspertów domu aukcyjnego – wynosiła 4 do 6 tys. dolarów. „Kornelia, matka Grakchów” – obraz Angeliki Kauffman z 1788 r. wyceniany na 200–300 tys. dolarów, został zakupiony w 2021 r. za 1,1 mln dolarów. „Cud wy-

prowadzenia wody ze skały” – powstały w latach 1562–1573 olej Jacopo Bassano został zakupiony za równowartość 2,3 mln zł. Od kogo, nie wiadomo – ale ten sam obraz parę lat wcześniej szwajcarski kolekcjoner sprzedał na aukcji za bańkę taniej. Muzeum prezentuje obraz jako dzieło Bassana, ale w katalogu aukcji figurowało jako „Bassano i pracownia”, czyli niekoniecznie pochodzi spod ręki mistrza.

Wdowa, rozwódka i karczma

Równie wiele wątpliwości budzą nabytki Zamku Królewskiego na Wawelu w Krakowie.

Ich lwia część została kupiona od rodziny Piera Corsiniego – właściciela galerii w Nowym Jorku i Monako – za pośrednictwem niejakiej Alex Grocholskiej, bylej żony paryskiego marszanda, która wprawdzie nie ma profesjonalnego przygotowania z zakresu sztuki, ale z małżeństwa wyniosła znajomości m.in. z wdową po Corsinim. Od tych dwóch niewiast Wawel zakupił wywrotek dzieł.

Jest wśród nich „Madonna z Dzieciątkiem” Giovanniego Belliniego za 9,9 mln zł. Kaleciński odnotowuje, że na tym obrazie rodzina Corsiniego

uzyskała sześciokrotne przebicie w stosunku do ceny zakupu – a także, że obrazy Belliniego kosztują mniej więcej dwa razy tyle, więc albo Corsini okazali się niezwykle hojni, albo z obrazem jest coś nie tak – np. pochodzi ze szkoły Belliniego, ale nie spod jego pędzla. Podobne wątpliwości budzi dzieło z warsztatu Tycjana, także sprzedane w pakiecie z kilkoma gobelinami za 9,9 bańki: *Obraz warsztatowy powinien kosztować kilkukrotnie mniej, oryginał Tycjana kilka razy więcej* – zauważa Kaleciński, dodając, iż *obraz objęły zmasowane działania marketingowe utrwalające skojarzenie z Tycjanem*.

Ten sam zabieg spotkał Bruegla. Przyznacie sami: nawet jak ktoś nie ma pojęcia o sztuce (jak ja), to Brueghel brzmi dumnie. Tylko że to nie ten, o którym myślicie. Obraz zakupiony przez wawelskie muzeum w tajemniczej, nieistniejącej w necie galerii Fau-nes SARL za ponad 16 mln zł – „Karczma Pod Świętym Michałem” – został namalowany przez Pietera II Bruegla, czyli syna i kopistę twórcy „Wieży Babel”. *Obraz wawelski jest najdroższą sprzedanym dziełem Bruegla syna w dziejach* – pisze Kaleciński i dodaje, cokolwiek emocjonalnie:

Wydanie na ten gniot, zaoferowany przez szemraną galerię, 16 milionów złotych przerasta wszelkie wyobrażenia o bezczelności i cynizmie.

Jego opinia pozostaje w znacznym kontraście do oficjalnego stanowiska muzeum. *Nasza kolekcja dzięki tym nabytkom będzie jeszcze bardziej rozpoznawalna w świecie – Bruegel i Heda na Wawelu to od dziś kolejne dwa ważne powody do odwiedzenia Polski i Krakowa* – entuzjazmował się dyrektor placówki prof. Andrzej Betlej. Wspomniany Heda – a dokładniej jego „Martwa natura” z 1637 r. – została przez Wawel zakupiona za 6,3 mln zł, choć porównywalne obrazy tego twórcy kosztują na aukcjach 2 do 4 baniek.

Żaden obiekt nie został kupiony bez wcześniejszej profesjonalnej i dogłębnej analizy, która obejmowała zarówno kwestie merytoryczne, jak i oferowaną cenę przedmiotu. W każdym przypadku dochowano należytej staranności i procedur – ogłosił Fałkowski w odpowiedzi na swoje odwołanie, dodając: *w żaden sposób nie można się zgodzić z zarzutem zakupu dzieł sztuki powyżej ich rynkowej wartości*.

AWŁ

nieubezpieczony

wołuje pozytywne emocje w stosunku do rządzących, w zasadzie nie opłaca się ubezpieczać mienia i w ogóle traktować poważnie sprawy zagrożeń masowych. Jeśli się zdarzy nieszczęście, które dotknie wielu ludzi w jakiejś okolicy, to zapewne w taki czy inny sposób władza weźmie to na siebie. Może nie w 100 procentach i nie od razu, ale generalnie jakoś to będzie. Po co się ubezpieczać? Po co budować zbiorniki i wysiedlać ludzi? Czemu nie wyciąć lasu i nie sprzedać drewna? Przecież w razie czego władza to jakoś załatwi.

W państwie populistycznym, podobnie jak w skorpupowanym socjalizmie i zdegradowanym, dziłkim kapitalizmie, bardzo często się zdarza, że ludzie budują się tam, gdzie nie powinni. Wiedzą, że są za blisko rzeki, i wiedzą też o tym władze. Władze jednakże dają pozwolenia za łapówki albo przysmykają oko na polityczne zlecenie populistycznych rządów, tak że za obopólnym cichym porozumieniem powstają sobie całe osiedla do zalania. Przykładem koronnym był wrocławski Kozanów postawiony z całą premedytacją na polderze, czyli na łące przeznaczonej do zalania. Ale to Niemiec powiedział, a Polak nie od tego, żeby się szkopskim rozumem kierować. No i osiedle w 1997 r. zalało równo – par-

ter z pierwszym piętrem. Kozanów to jest przykład jeszcze rodem z PRL, ale III RP wcale nie lepsza. Wiele spośród zalanych dziś domów to domy postawione w ciągu minionych 30 lat ze świadomością, że kiedyś może je zalać.

Ofiarom powodzi trzeba współczuć, a przede wszystkim pomagać. Także tym nieroztropnym, nieubezpieczonym czy pobudowanym na terenie zalewowym. Nie są oni większością, ale jest ich wielu. Dobre państwo nie odwraca się od nikogo i nikomu nie mówi „to twoje życie, twoja sprawa; musisz ponieść konsekwencje swojej lekkomyślności”. Zresztą za jednym nieroztropnym kryje się cała rodzina, która niekoniecznie miała coś do powiedzenia, a w tym również małe dzieci. Jednakże pomaganie to jedno, a pilnowanie zasad to drugie. W odpowiedzialnym i dobrze zorganizowanym społeczeństwie nie ma miejsca na łapówki ani populistyczne decyzje w rodzaju zgody na budowę osiedla nad niebezpieczną rzeką czy wycinki lasu zatrzymującego wodę spływającą z gór.



Władza w praworządym i silnym państwie stawia opór impulsom egoizmu, brakowi przezorności oraz ignorancji, nawet jeśli wszystkie trzy łączą swe siły w jakiejś demokratycznej procedurze i okazuje się, że „ludzie tak zagłosowali”. Od tego jest państwo, żeby w pewnym momencie – w imię bezpieczeństwa – powstrzymać ludzi przed szkodeniem samym sobie.

No dobrze, ale dlaczego ludzie mają rezygnować z różnych rzeczy, skoro w razie czego państwo i tak wszystko naprawi, tak jak naprawia się szkody wyrażone przez dzieci? Otóż tu jest właśnie *clou* całej sprawy. *Clou*, czyli gwóźdź. A gwóźdź jest twardy i kluje. Nie, nie może być tak, że ci, którzy naruszają zasady, na koniec dnia znajdują się w położeniu równie dobrym jak ci, którzy ich nie naruszają i zachowują się odpowiedzialnie. Bo jeśli nawet budując dom, nikt jawnie sobie nie rachuje, że w razie powodzi władza i tak zapłaci za odbudowę lub remont, to jednak wielu ma to, jak to się mówi, z tyłu głowy. I lepiej, żeby na przyszłość jednak nie mieli. A można to osiągnąć poprzez przyjęcie zasady,

że odpowiedzialność państwa za zniszczenia na terenach, o których wiadomo było, że grozi im zalanie raz na kilka dekad, jest tylko częściowa. Gdyby było jasne i zapisane w ustawie, że jeśli ryzykujesz budowanie się nad rzeką, to dostaniesz pomoc w wymiarze istotnie mniejszym niż wartość twoich strat, to pewnie dałoby się powstrzymać wiele nieodpowiedzialnych inwestycji.

Mądre i opiekuńcze państwo nie musi robić ze swoich obywateli ani naciągaczy, ani bezradnych sierot. Dzieli się z nimi odpowiedzialnością, szanuje ich zdanie, lecz tam, gdzie to niezbędne, stawia im granice. Poważne państwo jest jak dorosły człowiek – i w takim państwie obywatele też są dorośli. Za to populizm słabego i nieodpowiedzialnego państwa psuje ludzi i sam się tym zepsuciem karmi. Zadłuża się bez pamięci, wszystko wycina i betonem zalewa, wstęgi przecina, bo musi być hurra i do przodu! I to gromko! Prostactwo i buta zmieszane z patosem i sentymentalizmem to emocjonalny napęd takiego zaśośnego tworu politycznego, który pędzi na oślep od wyborów do wyborów, nie licząc się ani z budżetem, ani ze zdrowym rozsądkiem, nie mówiąc już o jakiejś tam rzecze. Rzekę to najlepiej zamknąć w jakiejś betonowej rurze i spokój! Tylko że ten, kto dziś bez pamięci tnę lasy i więzi rzeki w betonie, jutro będzie wycinał i więził ludzi. Faszyzm zawsze trenuje najpierw na przyrodzie, zanim zacznie traktować człowieka jako zasób biologiczny.

JAN HARTMAN

Wśród wielu komentatorów zdziwienie budzi to, że z programem wychowania patriotycznego wystąpił minister od wojska, a nie od oświaty. Tak naprawdę jednak nic w tym dziwnego: u polskich elit patriotyzm wywołuje przede wszystkim skojarzenia militarne. Celebrytuje się wojny, bitwy i powstania, zwłaszcza te najtragiczniej przegrane. Tymczasem patriotom nie uchodzi wychwalanie odbudowy Warszawy, zbudowania Nowej Huty, a nawet Gdyni, co miało przeciwieństwo miejsce nie w ponurych czasach socjalizmu, a jeszcze w okresie gloryfikowanej II Rzeczypospolitej.

Cała ta idea promowania patriotyzmu budzi pewne skojarzenia z ideologicznym przesłaniem prymasa Augusta Hłonda, który w 1945 r. przekonywał, że odrodzone po wojnie państwo powinno być *owiane myślą chrześcijańską i plemiennym geniuszem narodu*. Co prawda pomysłodawca ustawy wicepremier Kosiniak-Kamysz nie nawiązuje do plemiennego geniuszu, jednak z lubością co raz to przywołuje pojęcie *dumy narodowej*, której utrwalaniu ma służyć wyżej wspomniana ustawa. W uzasadnieniu do projektu ustawy wspomina o miejscach, z których uczniowie powinni być dumni – położonych w pobliżu miejsca zamieszkania, po to by działwy szkolnej nie ganiać po całej Polsce, aby pokazywać im Wawel, Zamek Królewski oraz kilka innych wyszczególnionych przezeń muzeów. Należałoby zatem wnioskować, że Wawel mają sobie zwiedzać krakowiaczy i górale, Zamek Królewski – warszawiaczy, ewentualnie mieszkańcy Sochaczewa, a Europejskie Centrum Solidarności – gdańszczanie i patriotycznie zorientowani Kaszubi. W latach dawno minionych także organizowano szkolne wycieczki do godnych uwagi historycznych miejsc. Przed laty jako uczeń szkoły podstawowej byłem wraz z moją klasą na wycieczce w dworku Fryderyka Chopina w Żelazowie Woli. Jednak wówczas nikt nie głądził nam o patriotyzmie i narodowej dumie z szopenowskich mazurków.

Jeżeli już ma się promować patriotyczną turystykę, to czemu



nie pójść znacznie dalej, wybierając poza ciasne krajowe ramy? Dlaczegoż by nie wozic dzieciaków po świecie? Tak, aby pokazać

im Wiedeń czy Monte Cassino, a dla równowagi także Lenino – choć z wjazdem na teren wrażej Białorusi, i w dodatku tuż przy

granicy z jeszcze bardziej wrażliwą Rosją, mogłyby być problemy. Z tych samych powodów odpada wizyta w białoruskim obecnie Nowogródku – miejscu urodzin Adama Mickiewicza. Jednak ów patriotyczny niedosyt można by w pewnej mierze zrekomensować odwiedzaniem innych rozsianych po świecie miejsc, w których przez dłuższy czy krótszy czas przebywał poeta – a w co najmniej siedmiu zagranicznych miastach znajdują się jego pomniki. Przed laty byłem w muzeum Mickiewicza w Stambule. Całe to muzeum to było skromne mieszkanko, jednak z zachowaniem autentycznych realiów tamtej epoki. Może i tam należałoby zawieźć szkolną młodzież, zamiast wozic ją tylko po muzeach martyrologicznych?

Skoro już jesteśmy przy literaturze, to warto zauważyć, że minister wojskowości w swoim katalogu twórców umieścił noblistów oraz kilku klasyków. Jednocześnie twierdzi, iż z grona literatów nie należałoby nikogo wykluczyć. Jeśli tak, to w tym niewykluczonym gronie powinien się znaleźć także wybitny dramaturg Leon Kruczkowski. Wśród jego dzieł jest m.in. dramat „Niemcy”, pasujący jak najbardziej do patriotycznych kanonów. Jak jednak wytłumaczyć jakiemuś dociekliwemu uczniowi, że w niektórych miastach – z Warszawą włącznie – zlikwidowano ulice jego imienia, gdyż był on członkiem KC PZPR? Prawdopodobnie dedukujący małałot zacznie analizować, czy ważniejsza jest czyjaś twórczość czy przynależność partyjna. Wzdając, że to drugie, może sobie zadać kolejne pytanie: to w jakim my, kurwa, kraju żyjemy?

Pan Kosiniak-Kamysz ze wszystkich dziedzin sztuki szczególnie umiłował sobie literaturę – tak jak gdyby muzyka, malarstwo, sztuka plastyczna, teatr czy film nie były godne patriotycznego zainteresowania czy narodowej dumy. Tymczasem ogólnie narzucanie dumy jakoś załamuje się na najniższym progu: dumy z osiągnięć polskich sportowców. Po ostatniej olimpiadzie w Paryżu z tą dumą może być cienko.

BLAŻEJ KAJETAŃCZYK

Czy potrzeba aż potopu, żeby aktywistów ekologicznych przestać brać poważnie?

Nad Wisłoką w Beskidzie Niskim dziesięciolecia temu wymyślono zbiornik wodny Kąty-Myscowa. Plany zakładają, że ma on gromadzić wody opadowe i chronić przed powodzią, a także poprawić zaopatrzenie w wodę pitną mieszkańców 20 gmin położonych nad Wisłoką, co wobec wyschniętych tamtejszych studni istotne jest.

Zbiornik zajmowałby około 440 ha, a jego pojemność całkowita to około 67 mln m sześć. wody. Zapora byłaby długa na około 596 m i wysoka na około 44 m. Mają na niej zostać zamontowane turbiny do produkcji prawie 4 GWh prądu rocznie. Dookoła zbiornika już za trzy lata mogłoby być tak jak nad dopakowaną turystami i biznesami Soliną.

Ale nie będzie. Rząd PiS zarzucił gotowy pomysł, bo dotarły do niego argumenty, że powstanie zbiornika Kąty-Myscowa zagrazi chronionym rybom, małżom i ptakom, które żyją nad rzeką. A utrudnienie migracji zniweczy dotychczasowe wysiłki na rzecz odtwarzania populacji łososia w dorzeczu górnej Wisły. Argumentacja dokładnie taka sama jak w Wilkanowie i innych zalanych miejscach w Kotlinie Kłodzkiej, gdzie politycy i miejscowi uwierzyli ekologom.

Powódź to ekologia

Po powodzi w 1997 r. powstał plan „Program dla Odry”. Miał ochronić przed ponownym zalaniem osiem województw: lubuskie, opolskie, dolnośląskie, śląskie, kujawsko-pomorskie, łódzkie, wielkopolskie i zachodniopomorskie.

Zakładano w nim modernizację służ, budowę zbiorników retencyjnych i wzmocnienie obwałowań. Do dziś nie zrealizowano wszystkich inwestycji, ale zbiornik przeciwpowodziowy w Raciborzu na 185 mln m sześć. wody – jak najbardziej. By go stworzyć, zlikwidowano dwie wsie – Nieboczowy i Ligotę Tworską, których mieszkańcy byli przy tegorocznej powodzi przeszczeniwi, że ktoś ich kiedyś przeniosł do bezpiecznego miejsca. Raciborski zbiornik na co dzień nie ma wody, ma za to zapórę, która w razie niżu gnieńskiego jest w stanie przyjąć mnóstwo opadów z terenów górskich.

Tak samo jak Nieboczowanie, chcieliby też ludzie z Myscowej. Oczywiście z wyjątkiem tych paru osób, do których zawsze docierają media. Te same media, które wcześniej wysłuchały protestujących przeciwko zbiornikowi ekologów. Ci zaś mają gdzieś argument, że najważniejszym celem inwestycji nie jest nawet to, że zapobiegnie powodzi, ale przeciwdziałanie skutkom suszy w gminach leżących w zlewni rzeki Wisłoki. Bo w przypadku długotrwałej suszy zasoby wodne zbiornika pozwolą na zaspokojenie potrzeb odbiorców przez pół roku.

Ekolodzy mają na to argument, że wodochłonny przemysł w Jasle się zamknął. Zapotrzebowa-

Ekipa Donalda Tuska ma szczęście w nieszczęściu. Temat powodzi przykrył falę gówna w ochronie zdrowia, która spietrzążając się od miesięcy, postanowiła radośnie wybić z nadejściem jesieni. Hasło, że Narodowy Fundusz Zdrowia nie ma pieniędzy, jest oklepem jak niedzielne schabowe. Kłops w tym, że fundusz naprawdę świeci gołą dupą i nawet nie stara się już tego ukryć. Efekt? Część szpitali wstrzymała planowe zabiegi i drogie programy lekowe dla pacjentów. Wiele wskazuje na to, że lista placówek z zamkniętymi drzwiami będzie się wydłużać, bo w rządowej kasie pieniądze na zapłatę dla szpitali nie ma.

Struktura transferu pieniędzy między NFZ a lecznicami jest tyleż prosta, ile nieskuteczna. Fundusz, kontraktując świadczenia zdrowotne, nie doszacowuje liczby świadczeń i zapotrzebowania na nie. Podpisuje umowy z placówkami ochrony zdrowia na konkretną kwotę, którą co miesiąc wypłaca. Są to tzw. świadczenia limitowane. Z drugiej strony przepisy przewidują obowiązek udzielania świadczeń w sytuacji zagrożenia życia lub zdrowia pacjenta (tzw. przymus ustawowy). Kiedy więc szpitale wykonują świadczenia w liczbie i o wartości większej, niż fundusz przewidział w umowie, powstają tzw. nadwykonania. Placówki, które wykorzystały kontrakt, powinny przestać przyjmować pacjentów, ale z prawnego punktu widzenia, realizując umowę z NFZ, nie mogą tego zrobić, dlatego zaciągają kredyty, z których finansują leczenie. Dzięki tej kwadraturze koła lecznice mogą się poszczycić gigantycznymi zadłużeniami. Są również tzw. świadczenia nielimitowane, czyli takie, za które fundusz powinien (teoretycznie) zapłacić bez względu na liczbę przyjętych pacjentów. Na jedne i drugie w państwowej sa-

Życie w dobrobycie

● Podważenie WIBOR-u na masową skalę doprowadziłoby do załamania polskiego systemu bankowego, który jest pierwszym źródłem finansowania dla osób fizycznych i przedsiębiorców w Polsce – straszył w mediach Tadeusz Bialek, prezes Związku Banków Polskich. Zdaniem oberlobysty banksterstwa kancelarie prawne, które zachęcają klientów do zaskarżania kredytów opartych na WIBOR, szerzą dezinformację, przekazując nieprawdziwe informacje o tym wskaźniku. Słowa te przypominają wszystko to, co przez lata opowiadali bankownicy o kredytach frankowych. I do czasu, gdy w TSUE sędziowie orzekli, że to kit, ludzie im wierzyli. Dziś wiadomo, że kredyt we frankach był przekrętem. A o WIBOR do TSUE spływają z polskich sądów pierwsze zapytania. Najważniejsze z nich brzmi: jakim cudem o wysokości stóp procentowych, według których miliony ludzi spłacają kredyty mieszkaniowe, decyduje nie NBP, ale prywatna spółka ustalająca wielkość WIBOR wespół z bankowcami, dzięki czemu nawet gdy oficjalne stopy procentowe NBP stoją w miejscu, to odsetki od kredytów idą w górę?

● Rozwiązał się rządowy dylemat, czy ruszać z programem wspierania banków i deweloperów o nazwie „kredyt zero procent”, czy może jednak budować mieszkania na tani wynajem – finansując krewnych i znajomych różnej maści samorządowców. PSL-owski minister Krzysztof Paszyk zapowiedział, że rząd już za chwilę zrobi dobrze ludziom potrzebującym mieszkań. W tym celu powstanie w internecie rządowy portal dla kupujących mieszkania. Ma się nazywać DOM i być prowadzony przez Ubezpieczeniowy Fundusz Gwarancyjny. Portal nie będzie co prawda rozdawał mieszkań, ale zapewni wiarygodne dane dotyczące cen transakcyjnych, aktualizowane na bieżąco i z uwzględnieniem przeprowadzanych transakcji zarówno z rynku pierwotnego, jak i wtórnego. Co z kolei – jak twierdzi Pasz-

yk – ułatwi decyzje zakupowe. Komu, skoro nierządowe portale podały, że w takim Poznaniu, gdzie średnio zarabia się ponoć 9160 zł brutto miesięcznie, średnia cena metra kwadratowego przekroczyła 12 tys. zł?

● W Polsce studiuje prawie 1,25 mln osób. Liczba studentów zagranicznych u nas wynosi ponad 101 tys. Jednak milion studiujących Polaków to dla polskiego biznesu żaden interes. Bowiem to ci zagraniczni, zdaniem ludzi z dużą kasą, przekładają się na sporą liczbę potencjalnych klientów prywatnych domów studenckich. Zagraniczny student w Polsce tym bowiem różni się od studenta krajowego, że zapewne jest bogaty, a poza tym głupszy, a na dodatek nie ma innej, łatwej alternatywy mieszkaniowej. Prywatne akademiki są więc ponoć dla studentów obcokrajowców pierwszym miejscem wyboru. Po pierwsze z powodu bariery językowej, która stanowi istotną przeszkodę przy wynajmowaniu mieszkań prywatnych, po drugie słabej jakości akademików publicznych i wysokiej pozycji prywatnych domów studenckich na Zachodzie. Okazuje się, że ten marketingowy belkot jednak działa, bo w Polsce zwroty z inwestycji w prywatne domy studenckie są najwyższe w Europie i sięgają 7 proc., w przeciwieństwie do średnio 5 proc. na Zachodzie. Co nie dziwi przy tym, jak winszują sobie od studenta 2890 zł miesięcznie za miejsce w takim przybytku.

● Górnictwo węgla w drugim kwartale popłynęło na 1,6 mld zł. Pierwsze półrocze zamknęło więc stratą 2 mld zł. Przychody spadły o 15,3 proc. do 14,5 mld zł. W każdej normalnej firmie przy takich wynikach można byłoby się spodziewać cięcia kosztów, szukania oszczędności, no i masowych zwolnień pracowników. Polskie górnictwo węglowe ma jednak inaczej. Zatrudnienie wzrosło o 0,3 proc., o 200 nowych pracowników. Ba, nabrały tempa inwestycje. Tylko od kwietnia do czerwca nakłady inwestycyjne skoczyły – rok do roku – o 12,1 proc. Tymczasem na haldach zalegają prawie 4 mln ton węgla, na który nie ma chętnych. A to dlatego, że koszt węgla z importu to średnio 120 euro za tonę, a średni koszt wydobycia polskiego czarnego złota to 215 euro. Zarówno pisowski, jak i obecny rząd przykrecają udział fotowoltaiki i energii z wiatru, żeby tylko elektrownie węglowe cały czas mogły jak najczęściej wypalać surowca pozyskiwanego z kopalni.



Płacąc oczywiście tyle, ile chcą kopalnie. Efekt jest taki, że nie dość, że mamy prąd najmniej ekologiczny w Unii, to na dodatek jest on najdroższy. Kopalnie inwestują miliardy nawet mimo tego, że w 2030 r. ma działać tylko osiem z nich, a ostatnią zamierzamy zamknąć w 2049 r. Czy na taką spiralę państwowego kretynizmu naprawdę nie ma lekarstwa?

● Chyba nie, czego najlepszym dowodem jest to, że wicepremier Krzysztof Gawkowski niemal płakał po tym, jak Intel ogłosił, że nie będzie otwierał zakładów w Polsce. Nie będzie, choć przecież Gawkowski załatwił zgodę Brukseli, by polski budżet mógł wespół amerykańskiego giganta 7,4 mld zł. Szmalec miał pójść na to, że Intel chciał zatrudnić u nas 2 tys. osób. Zamiast płakać, Gawkowski – gdyby kumał coś związanego z kasą – winien się cieszyć, a nawet od miesięcy olewać Intela. Firma bowiem od dłuższego czasu pikuje zarówno finansowo, jak i technologicznie. Jej akcje w ciągu paru miesięcy poleciały na pysk, w finansach zrobiła się dziura na 10 mld dolarów, a 15 tys. pracowników Intela zobaczyło zieloną trawkę. Skoro Gawkowski o tym nie wiedział, to może zająłby się prowadzeniem kur do toalety.

TTJ

Nic, naprawdę nic nie pomoże...

nie na wodę nie jest więc tak duże, jak prognozowano. I nie wrośnie, więc zbiornik niepotrzebny, bo *do dyspozycji mamy zasoby wód podziemnych*. A że do nich trzeba wbić się w głąb ziemi na setki metrów, a na dodatek te złoża też są na wyczerpaniu? W ochronę przeciwpowodziową zbiornika ekolodzy też każą wątpić, bo zamiast tego lepiej całą dolinę Wisłoki zabudować bardzo odległymi od rzeki wałami, by woda miała się gdzie rozlewać. Miejscowi, gdy to słyszą, pukają się w czoło, bo to góry i woda płynie po stokach, a miejsca na poldery za cholerę tam się nie znajduje. Chyba że wysiedli się tysiące domów stojących w pobliżu rzeki od dziesięcioleci.

Pomysł z oddalonymi od siebie wałami jest idealny na nizinach, ale w górach woda, nie mając się gdzie rozlewać, śmiga błyskawicznie w dół. Ale kto kazał aktywistom znać takie detale?

Ekologiczne naklejki

Ekolog w Polsce kojarzy się z lka-jącą nad losem zwierzątek panią udającą nastolatkę. Albo z długowłosym, brodatym facetem w wyciągniętym swetrze, ubolewającym nad losem jaszczurek czy motylków. I ja, i jego łączy zaś coś, co dla większości Polaków brzmi głupio. Każdy ekolog chwali się mianowicie, że jest wege. A skoro jest wege, to – zdaniem rodaków – musi być bogaty. Wystarczy liźnąć trochę internetu, a potem pójść do sklepu, aby zobaczyć, że żarcie dla jaroszy kosztuje dwa razy drożej. Bogaty udający biednego nie budzi w społeczeństwie zaufania.

Jeszcze mniej ciekawy odbiór społeczny mają dokonania ekologów.

Miłością do ekologów nie zapala też młody Polak cały dzień wiszący na internecie. Zwłaszcza jeśli dostanie ekologicznego posta z akcjami amerykańskich ekologów o nazwie PETA, w których aktywiści dowodzili, że picie mleka jest przejawem rasizmu, bo przecież mleko jest białe.

Uczucie do ekologii przejdzie nawet wykształconym, młodym i wielkomiejskim, czyli tym, którzy statystycznie i zgodnie z modą powinni być eko. Wystarczy, że przeczytają coś, co napisał guru prozwierzątkowców, australijski etyk i filozof Peter Singer. Znaczy, że zwierzęta stoją w drabinie ekologicznej wyżej od ludzi i dlatego nie mogą być przez homo sapiens w jakikolwiek sposób wykorzystywane.

Dołóżmy do tego to, co się dzieje w Polsce i Europie od kilkunastu miesięcy za sprawą przyklejających się do dzieł sztuki i asfaltu aktywistów Ostatniego Pokolenia, Extinction Rebellion i innych grup aktywistów klimatycznych.

Ostatnie Pokolenie w Warszawie zasłynęło z blokowania jadącym do pracy tysiącom ludzi głównych arterii stolicy. Z Wisłostrady demonstrantów znieśli wściekły kierowcy, siłą i przy pomocy gaśnic. Aktywistów brak poparcia społecznego nie rusza, bo wiedzą lepiej i widzą więcej. *Będziemy siadać na drogach w największe*

upaty. Będziemy protestować w miejscach, które najszybciej napędzają kryzys klimatyczny, pchając nasz kraj i naszą gospodarkę w kierunku zapaści – piszą zatem w swoich manifestach. Bo tworząc tę niedogodność w dużych miastach, pokazujemy problem, który dla ludzi w mniejszych miejscowościach i na wsi jest codziennością. Problem dojazdu do szkoły, pracy czy lekarza dotyczy 6 mln Polek i Polaków.

Postulują zatem przekazanie 100 procent pieniędzy z budowy nowych dróg ekspresowych i autostrad na regionalny transport publiczny i wprowadzenie jednego biletu za 50 zł miesięcznie na transport regionalny w całym kraju. Z tego zaś wynika, że Ostatnie Pokolenie, w przeciwieństwie do reszty Polaków, nie przemieszcza się poza najbliższą okolicę, w związku z czym drogi im potrzebne nie są ani nawet pociągi dalekobieżne, na które bilety są droższe niż koszt paliwa samochodowego służącego do przejechania takiej trasy.

Protestowanie przeciwko władzy, która zawodzi obywateli, to nasz obowiązek – podkreślają za każdym razem bojownicy Ostatniego Pokolenia, nie dostrzegając jednak, że społeczeństwo przykłada kłosa nie im, ale właśnie władzy, słusznie bojąc się, że postulaty OP to twórcze rozwinięcie idei Kononowicza, wedle której miało nie być nic.

Lepiej wiedzący

Kilkanaście tysięcy ludzi w Polsce, którzy pracują w sektorze hodującym futrzaki i przetwarzającym je na futra, gdy słyszy, że zwierzęta są męczone i głodzone do tego stopnia, że same się zjadają, ma ochotę mówić coś takiego obić gębę. Bo to bzdura. Prozwierzątkowcy na jednym przykładzie sprzed lat pokazywanym w sieci na okrągło wmawiają, że hodowcy są nie normalni. Bo skoro w hodowli chodzi o to, żeby futro na futrzaku było lśniące, piękne i delikatne – bo za takie dostaje się dobre pieniądze – to

trzeba być imbecylem, żeby dopuścić do tego, aby zwierzęta wzajemnie sobie do futro wygrzały. A skoro polskim hodowcom produkcja schodzi na pniu, to przy gehennie norek czegoś takiego by nie było. Abstrahując nawet od informacji, że o ile ze 100 gospodarstw hodujących zwierzęta na mięso inspekcje weterynaryjne trafiają rocznie do trzech, a na 100 ferm futerkowych inspektorzy są co roku w 97.

Każdy pamięta protesty sprzed lat w sprawie Doliny Rospudy. Dzięki ekologom trasę obwodnicy Augustowa musiano zmienić. Miasto o siedem lat dłużej było rozjeżdżane przez ciężarówki, ludzie ginęli pod nimi i od emitowanych przez rury wydechowe spalin. Od tej pory w Augustowie ekologów nie lubią. A co ciekawsze, te stworzonka, które przesunięcie trasy miało ocalić, dokonały na ochronionym terenie żywota.

Potem ekolodzy blokowali budowę ekspresówki S16 między Białymstokiem a Olsztynem. Czyli przez Mazury niemal całkowicie odcięte od ruchu samochodowego. Dzięki temu miejscowi, miast mieć więcej turystów i pieniędzy, mają ich mniej. A bezrobocie w tym regionie jak było wielkie od zawsze, tak jest i dziś. Ekologiczni zadymiarze jako argumentu używali tego co zwykle, czyli że droga grozi ostoi żółwia błotnego, kolonii łabędzia niemego i siedlisku łęgowemu bielika. A że projektowana droga miała iść po śladzie istniejącej od lat asfaltówki i jeżdżące nią samochody jakoś tym stworzeniom nie przeszkadzały?

Ekologa goń, goń, goń

Na Podhalu ekologów nie lubią od niemal 30 lat. Górale pamiętają powódz z 1997 r. i wiedzą, że gdyby nie było znienawidzonej przez ekologów zapory w Czorsztynie, to setki wsi popłynęłyby wtedy z wielką wodą.

Ekolodzy chyba nie wiedzieli, że u górali mają przerąbane. Ale dowiedzieli się, gdy zaprotestowali przeciwko ucywilizowaniu rzeki Białka pod Tatrami. Ale tylko w przestrzeni medialnej. Na miejscu się nie pojawili. Miejscowi zapowiedzieli, że jak zobaczą kogoś, kto będzie przeszkadzał w pracach, dzięki którym ich wsie nie będą co roku zalewane, to potraktują go „ciupaską”.

Gdzie byli miłujący zapylające kwiatki pszczołki ekolodzy, gdy pod Ministerstwem Rolnictwa protestowali parę lat temu bartnicy, czyli Stowarzyszenie Pszczelarzy Zawodowych? Nie było ich, bo pszczelarze żądali wycofania środków z neonicotynoidami. Czyli czymś, co jak udowodniono, zabija pszczoły. Ekologów wtedy nie było, bo oni protestują przeciwko wszystkim pestycydom, gdyż świat bez nich byłby lepszy. Ciekawe, czy dla milionów ludzi, które marłyby z głodu w Afryce też?

A czy słyszał ktoś od ekologów naukowy argument, że porastające Polskę rośliny mogą pochłoniąć ledwie tyle CO₂, ile wychodzi z kominów Bełchatowa. Czy widział ktoś pikietę ekologiczną pod szkołami, w których nie uczy się dzieci, że segregowanie śmieci ma sens? A może ktoś trafił na happening przed hipermarketem, uczulający, żeby kupować tylko tyle, ile potrzeba, a nie wywalać do śmieci prawie jednej piątej zakupów?

No to skoro nikt tego nie widział, to nic dziwnego, że normalnemu Polakowi ekolog kojarzy się źle i głupio.

TADEUSZ JASIŃSKI

Plan rządu na leczenie? Do pieca na trzy zdrowaśki Szpitale toną po cichu

kiewce brakuje forsy. Strata NFZ za poprzedni rok wyniosła ponad 16 mld zł, a za ten rok będzie jeszcze większa. O tym, że szambo wylało, przekonali się już pierwsi pacjenci.

Ogólnopolski Związek Pracodawców Szpitali Powiatowych (OZPSP) od kilku tygodni alarmuje, że NFZ daje ciała, by nie powiedzieć: dupy. Ze względu na skalę niezapłaconych nadwykonań decyzję o wstrzymaniu od września włączania chorych do programów lekowych (czyli innowacyjnego leczenia ciężkich chorób przewlekłych) podjęła dyrekcja Ortopedyczno-Rehabilitacyjnego Szpitala Klinicznego im. W. Degi Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. Przekładając z administracyjnego bełkotu na polski: pacjenci z ciężkimi postaciami zapalnych chorób reumatycznych, którzy zakwalifikowali się do leczenia, mogą zwinąć z bólu ugryźć się w dupę. 2 września spółka zarządzająca Szpitalem Żywiec, złożyła do wojewody śląskiego wnioski o udzielenie zgody na tymczasowe zawieszenie wykonywania działalności leczniczej w terminie od 7 października 2024 r. do 7 stycznia 2025 r. trzech oddziałów i dwóch poradni. Mowa m.in. o chirurgii ogólnej i onkologicznej, oddziale chorób wewnętrznych, poradni położniczo-ginekologicznej oraz urazowo-ortopedycznej. Ograniczaniem przyjęć pacjentów, jeśli kłopoty z płatnościami NFZ zagrażają jego płynności finansowej, zagroził także szpital w Katowicach. Oznacza to wydłużenie się kolejek i dez-

aktualizację badań, na które (o ironio) także trzeba czekać miesiącami. Z powodu braku pieniędzy NFZ ma spory poślizg w kontraktowaniu nowoczesnej immunoterapii dla pacjentek chorych na raka szyjki macicy, która powinna być dostępna w nowym programie lekowym od kwietnia. Nie ogłoszono również konkursów na finansowanie leczenia ciężkiej osteoporozy pomenopauzalnej, kardiomiopatii czy czerniaka błony naczyniowej oka. Co na to rząd? Otóż gównio.

Jeszcze w czerwcu minister zdrowia Izabela Leszczyna przyznała na antenie Polsat News, że w 11 województwach nadwykonania świadczeń za pierwszy kwartał 2024 r. są opłacone, a w pozostałych pięciu województwach są *nieliczne niedobory*. Wówczas Ministerstwo Finansów wyemitowało obligacje skarbowe o wartości 3 mld zł przeznaczone dla NFZ. Obligacje opchnięto na początku września, żeby załatać dziury z drugiego kwartału. Dowcip polega na tym, że – jak zauważył wiceprezes OZPSP Krzysztof Zochowski – według szacunków na zapłatę szpitalom za nadwykonania w trzecim i czwartym kwartale potrzebnych będzie kolejnych 6 mld zł. To chujowa wiadomość, bo właśnie kończy się trzeci kwartał, a na dokładkę dr Filip Nowak, prezes NFZ, z rozbrajającą szczerością poinformował w połowie września członków rady funduszu, że sytuacja finansowa płatnika *nie pozwala w najbliższej przyszłości na pokrycie wszystkich nadwykonań*



w zakresach nielimitowanych. Nawet jeśli Ministerstwo Zdrowia wygrzebie z budżetu brakującą kwotę, placówki medyczne zobaczą forszę dopiero po Nowym Roku. Jak zgrabnie podsumował fundusz, *najbliższe miesiące i kolejny rok będą okresem, w którym należy się spodziewać ograniczenia w dostępnosci świadczeń z racji braku pokrycia kosztów ich realizacji w pełnej wartości. Ryzyko to powinno skłaniać rząd i instytucje regulacyjne, bezpośrednio odpowiedzialne za politykę zdrowotną do wdrożenia*

działań, które pozwolą zminimalizować negatywny wpływ sytuacji finansowej na bezpieczeństwo zdrowotne. Jak to będzie wyglądało w praktyce? Jak zwykle: pacjenci pocałują klamkę, winą obarczą lekarzy, a lajba będzie tonąć głębiej.

NFZ już cichaczem spycha winę na pracowników ochrony zdrowia jako jedno ze źródeł problemu, wskazując ustawę podwyżkową, czyli regulującą płace minimalne medyków według wskaźnika GUS. Wynagrodzenia są obecnie finansowane w wycenie świadczeń i pochłaniają znaczną część wzrostu nakładów na ochronę zdrowia.

Wiewiórki donoszą, że katastrofalna sytuacja finansowa funduszu może wygasić dynamikę wzrostu płac w publicznej opiece zdrowotnej, a wręcz zamrozić postanowienia ustawy. Ten manewr z kolei spowoduje odpływ specjalistów do sektora prywatnego. Nie trzeba się domyślać, z jakim skutkiem dla pacjentów...

17 września minister zdrowia Izabela Leszczyna zapowiedziała spotkanie przedstawicieli szpitali powiatowych z premierem Donaldem Tuskiem. Rozmowy mają dotyczyć zarówno nadwykonań, jak i wynagrodzenia pracowników medycznych. Żeby dolać oliwy do ognia, na pertraktację nie zaproszono przedstawicieli środowisk medycznych. To jasno pokazuje, gdzie w pierwszej kolejności MZ będzie szukało oszczędności, wylewając przy okazji dziecko z kąpielą.

Z raportu Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny PZH, Instytutu Finansów Publicznych i Federacji Przedsiębiorców Polskich wynika, że w przyszłym roku deficyt NFZ sięgnie 24,7 mld zł. Zatem: pacjencie, lecz się sam.

IDALIA DUBICKA

Strefa wolna od dzieci

Bezbachorze nad Wisłą

My, naród, nareszcie możemy być z siebie dumni. Jakkolwiek bylibyśmy skłóceni, zdarzają się piękne momenty, kiedy ramię w ramię, wspólnymi siłami potrafimy budować. Nie inaczej się stało, gdy stacja TVN podczas programu w tzw. telewizji śniadaniowej zapytała w ankiecie *Czy jesteś za strefami wolnymi od dzieci?* 83 proc. respondentów odpowiedziało, że tak. Ostatni raz tak miękko na serduszkę zrobiło mi się, gdy cała Polska szukała zabójcy psa z Małdańca. Tradycyjnie przez media przetoczyła się fala z dupy wyjętego oburzenia. Najbardziej bawi jednak sprawca całego zamieszania, a nie jest nim stacja TVN.

Michał Radomir Wiśniewski, polski publicysta, popularyzator mangi, anime i fantastyki, autor komiksów, wreszcie pisarz, wyklepał książkę „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nie nawidzą dzieci”. Książki nie czytałam, ale zanim wyleje się na mnie fala gówna równa tej, jaka nawiedziła śniadaniówkę za niewinną ankietę, na swoje usprawiedliwienie dodam, że autor wspomnianego dzieła w kwestii researchu też skrupulatny nie jest. Stacja TVN zaprosiła autora, żeby sprowokować dyskusję o bachorzach w przestrzeni publicznej, a ja, śledząc jego poczynania w mediach, z radością dorwalam się do tematycznego cyca.

Uwaga, kaszojad

Wiśniewski brylował nie tylko w TVN. Pod koniec sierpnia w „Wyborczej” ukazał się wywiad, w którym pan pisarz udawał swoje racje, czym już zwrócił moją uwagę. *W Szwecji ludzie w tłumie się rozsuwają, żeby nie potrącić dziecka. W Polsce mają pretensję, że biega*

po sklepie, a oni je mogą najechać wózkiem. No nie wiem, to może patrz przed siebie i nie najedź? – artykułował Wiśniewski.

Byłam kiedyś świadkiem, jak w sklepie trzyletni na oko gówniarz biegł po pasażu. Poślizgnął się na terakocie, wyrznął głębię w głębię i zaczął wyć. Wpadłam w rechot i dla własnego bezpieczeństwa schowałam się między regały. W razie uszkodzenia twarzoczaszki bombelka winni byłiby wszyscy: ochrona, pracownicy sali sprzedaży, właściciel sklepu, sieci, wreszcie producent płytek na posadecę – tylko nie opiekun. W kwietniu 2010 r. 2,5-letni smark, wykorzystując gapiostwo rodziców, nażarł się granulek Kreta, środka do odrażania rur, podczas zakupów w jednym z supermarketów Netto w Stargardzie Szczecińskim. Rodzice pozwali producenta chemii, firmę Pollena Global i, co gorsza, wygrali. Sąd Okręgowy w Szczecinie nakazał firmie wypłatę 100 tys. zł odszkodowania i zobowiązał ją do bulenia za przyszłe szkody i powikłania u smarkacza. Zabawne, bo kiedy w 2013 r. dwulatka z Zabrza zeżarła amfetaminę konkubenta matki, karnie odpowiadali opiekunowie, a nie diler.

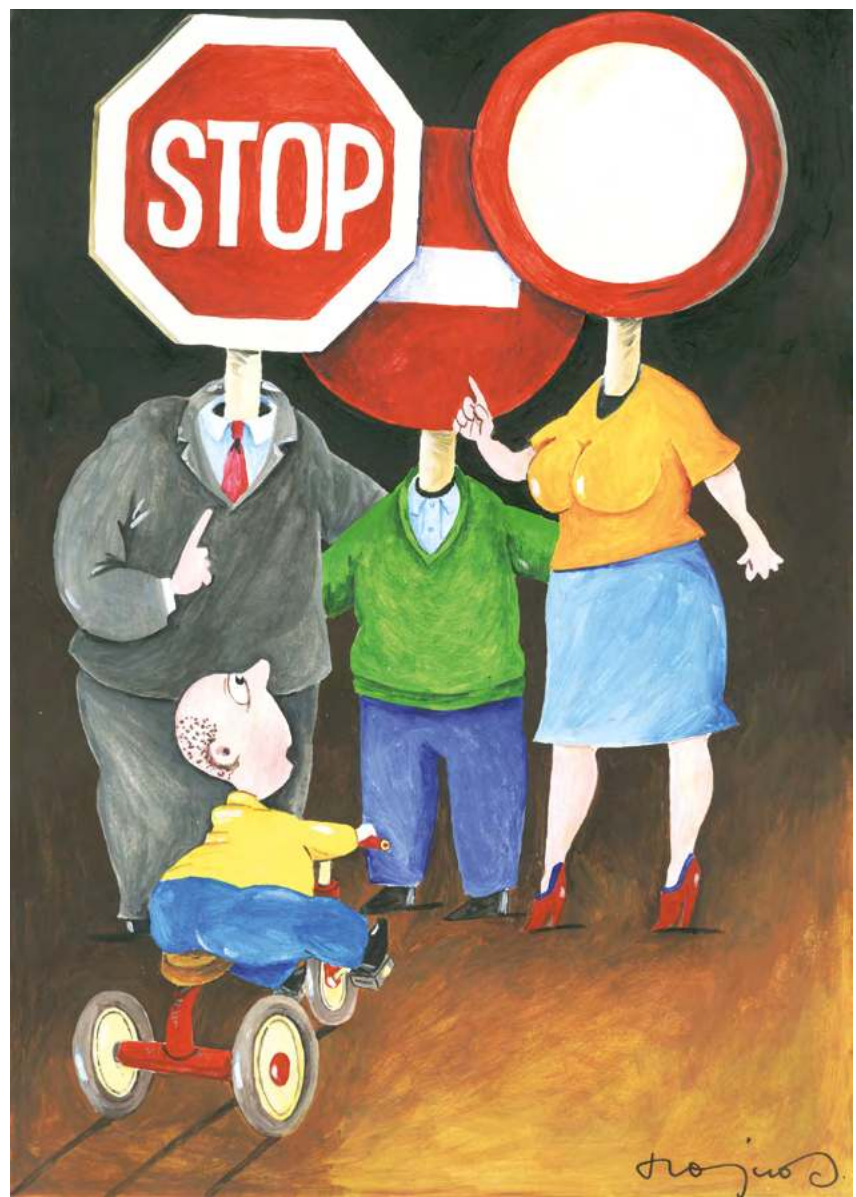
Morda w kubel

To wyczulenie na hałas generowany przez dzieci to stosunkowo nowa rzecz. Wychowywałam się w latach 80. na PRL-owskim osiedlu. Nie pamiętam, by ktoś narzekał, że hałasujemy. Dźwięk bawiących się na dworze dzieci był naturalnym dźwiękiem i nikt nie zwracał na niego uwagi – opowiada w „Wyborczej” Wiśniewski. Jakoś inaczej wspominam zabawy na moim osiedlu, bo kiedy wraz z bandą smarkaczy przeginaliśmy pałę, otwierało się

jedno z okien i najpierw szła soczysta zębka, a jeśli nie pomogło, niejeden rodzic potrafił zejść na dół z pasem w ręce dla spacyfikowania nastrojów. Dwa lata temu na jednym z zielonogórskich osiedli kobieta rozsypała potłuczone szkło na placu zabaw. Nie pochwalam, ale rozumiem. Głośny krzyk dziecka oscyluje w okolicy 80 dB; poziom ten jest zbliżony do głośności motocykla.

Osobie, która w swoim miejscu zamieszkania doświadcza ryzyka utraty zdrowia, narażona jest na szykany i poniżenia, odbierana jest jej wolność słowa i postępowania bardzo współczujemy, o ile mieszka w kraju reżimowym lub objętym wojną. Jeśli dokładnie tego samego doświadczy obywatel w kraju nad Wisłą, co gorsza, ze strony dzieciaków, usłyszysz, że ma wypierdalać, bo to dzieci.

Odległość placów zabaw, boisk dla dzieci oraz miejsc rekreacyjnych od okien pomieszczeń przeznaczonych na pobyt ludzi powinna wynosić co najmniej (!) 10 metrów. Tak stanowi prawo budowlane. W praktyce, żeby pozbyć się spod okien huśtawek czy bachorni z osiedlowego złołka lub



Rys. MAŁGOSZ HAJNOS

klubiku dziecięcego, które najczęściej gnieźdzą się w prywatnych mieszkaniach, potrzeba sądowej batalii. Mógł się o tym przekonać Adam Darski, frontman zespołu Behemoth, który wraz z mieszkańcami kamienicy na warszawskim Powiślu stoczył prawną bitwę z właścicielką osiedlowego złołka. Darski miał szczęście – wygrał ciszę i brak smrodu zużytych pieluch.

Adults only

Najlepszym symbolem polskiej dzieciobobii jest według Wiśniewskiego rozwieszanie tabliczek z napisem *zakaz gry w piłkę* i tworzenie stref nieprzyjaznych dzieciom. Pewnie nikt mu nie wypierdolił piłką szyby w oknie, a nawet gdyby, zapewne przyjałyby to z uśmiechem. Przecież to dzieci. Ow-

PLURALIS MAIESTATIS

Jezus, Maria!

Mel „Zabójca broń” Gibson ogłosił, że jednak doczekamy się filmu „Passion of the Christ: Resurrection”. Ma to być dzieło kontemplacyjne. Filozoficzno-poetyckie. Aż żal, że „nasz” filozoficzno-poetycki Wielki Lolek owej produkcji nie doczekał!

W roli Jezusa znowu James Caviezel. Wierzę w możliwości techniczno-liftingujące nowego kina, ale jednak już nie sposób pozbyć mi się myśli, że zmartwychwstanie mocno postarza. Wszakże od premiery „Pasji” upłynęło jak w mordę strzelił 20 lat. Wówczas Caviezel był młodym byczkiem, a fanki rozpaczaly, że odmawia udziału w scenach erotycznych innych niż tête-à-tête z krzyżem, gdzie dumnie prezentował wszystko, czego nie udało się ukryć pod opaską biodrową. Rzeczony aktor twierdzi, że występ w rzeczony „Pasji” kosztował go karierę, jako że Żydzi oskarżyli rzeczonych twórców rzeczony film o antysemityzm. Obecnie jest gwiazdą amerykańskiej ultrapracy i wygaduje dyrdymały jeszcze gorsze niż ta, że *Jan Paweł II zmiażdżył komunizm z miłością*. Rzekłabym, że na przeciwnym biegunie męskości od amerykańskiego aktora jest minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow. Pierwszy to klasyczny seksualna jednorazówka, której nie mam ochoty oglądać po raz kolejny, w dodatku w 20-letnich płóciennych gaciach. Ten drugi – z całym szacunkiem dla międzynarodowej dyplomacji – to koleś, z którym można się dymać aż do śmierci. Seksowna jest inteligencja, a krzyże są jej zaprzeczeniem.

Jednocześnie w innym wywiadzie Gibson twierdzi, że widz musi się nastawić na to, że bliższy kontakt z planowanym arcydziełem filmowym bliski będzie *doznań na kwasie*. Dietyloamid kwasu D-lizergowego, frustracja, strach, kiełbie we łbie, fanatyzm religijny – na pewno Gibsonowskie dzieło znajdzie swoich odbiorców. Doczytałam, że LSD

jest substancją psychodeliczną 4000 razy bardziej czynną niż meskalina i trochę mnie zmroziło. Z meskaliną miałam do czynienia raz jeden (i raczej tego nie powtórzę) gdzieś w okolicy premiery „Pasji One”. Zaprzyjżnione trzeźwe wiewióry doniosły, że siedziałam na golasa na dywanie, trzymałam się za kiepeł i wyłam: *Na to musi być odtrutka! Oddajcie mi moją inteligencję...* I tak bez przerwy, dopóki nie przeszedł zły trip. Jakies trzy dni – a dalej zmartwychwstanie.

Jezus powróci, Maryja twarz zakryje. A przynajmniej tak wynika z „Norm postępowania w rozeznawaniu domniemanych zjawisk nadprzyrodzonych” wydanych przez Dykasterię Nauki Wiary, a dotyczących objawień w Medugorie. Jednocześnie Watykan wydał „nihil obstat” dla pielgrzymów. Oznacza to ni mniej, ni więcej, tylko stwierdzenie, że cudu to tam nie było, ale nic nie przeszkadza, abyście, drogie owieczki, dawały się przy tej świątynie w Federacji Bośni i Hercegowiny golić z hajsu – do gołej skóry. Kwękając na brak kasy Kościół nie będzie cenzurował waszej głupoty.

W tym samym uświęconym piśmie stoi, że Watykan nie osądza życia moralnego domniemanych wędzających – dary duchowe *niekomiecznie wymagają moralnej doskonałości osób zaangażowanych, aby mogły działać*. A nie mogliście tak wcześniej? Przecież biedna nie tylko jak Kościół, ale jak mysz kościelna zamiast sepić kasę po znajomych i nieznajomych wyprodukowałabym maryjne objawienie! Na trzeźwo, bez kwasu. Coś mi się widzi, że jedna z tych pomarańczowych plam na szarej boazerii – od gazu lżawiącego, co to policja polska jebnęła nim w twarz swojej mamy i moją – bardzo przypominała Maryjkę! Zbiłam boazerię. Znaczą – przepadło! I święty boże nie pomoże.

IZABELA SZOLC

Równość jest dobra
Alternatywa dla barbarzyństwa
to socjalizm

Pogardliwe określenie „patologia” oznacza każdego, komu nie wystarcza na rachunki, kto za mało zarabia, żeby godnie żyć. Chodzi o to, żeby bieda kojarzyła się z pijaństwem, lenistwem, a nawet amoralnością. Czujemy się lepiej, wierząc, że biedni sami siebie skazali na nędzne życie. Bo nie chciało im się wcześniej wstawać, myć zębów i zasuwać od rana do nocy. To kłamstwo, w które wierzą także biedacy. Dlaczego? Bo dają jeszcze nadzieję, że wystarczy się starać, by kiedyś z tej biedy wyjść.

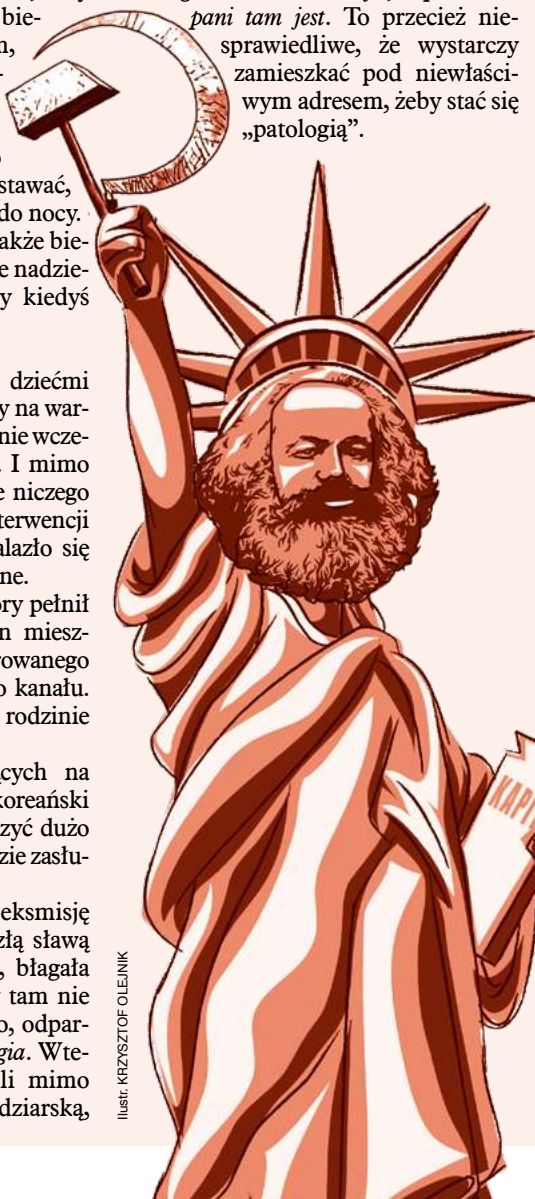
Pan Michał wraz z żoną i dziećmi mieszkał przez 10 lat w piwnicy na warszawskim Ursynowie. Codziennie wcześniej wstawał, bo był dozorcą. I mimo ciężkiej pracy nie był w stanie niczego wynająć. Dopiero po naszej interwencji i programie telewizyjnym znalazło się dla niego mieszkanie komunalne.

Znałem też ochroniarza, który pełnił służbę, chroniąc spokojny sen mieszkańców bogatego monitorowanego osiedla, a na noc szedł spać do kanału. Większość pieniędzy wysyłał rodzinie do popeerowskiej wsi.

Takich historii przywołujących na myśl nagrodzony Oscarem koreański film „Parasite” można przytoczyć dużo więcej. Najważniejsze, że ci ludzie zasługują na szacunek.

Pewna pani, skazana na eksmisję ze skierowaniem na owianą złą sławą ul. Dudziarską w Warszawie, błagała mnie, żebym coś zrobił, żeby tam nie trafiła. Gdy spytałem dlaczego, odparła: *Bo tam mieszka sama patologia*. Wtedy jej uświadomiłem, że jeśli mimo moich starań trafi na Dudziarską,

może przyjść do mnie kolejna osoba skierowana na tę ulicę. *A kiedy spytam, dlaczego tam nie chce trafić, odpowie: bo pani tam jest*. To przecież niesprawiedliwe, że wystarczy zamieszkać pod niewłaściwym adresem, żeby stać się „patologią”.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Skąd tyle pogardy dla tych, którym się gorzej wiedzie? Ze strachu. Wbrew pozorom wcale nie tak trudno trafić na dno. Wystarczy pracować na śmieciówce i zachorować albo splajtować. Ludzie jednak nie chcą wierzyć, że ich spotka coś złego. Wolą wierzyć, że ci ludzie, których to spotkało, za mało się starali.

Powstał więc idylliczny obraz panującego systemu, w którym każdy ma to, na co zasłużył. Bogaci wspięli się na szczyt dzięki uporowi i pracowitości, a biedni to banda leni i nieudaczników, a co za tym idzie – wspieranie ich zasiłkami jest niemoralne.

Bogactwo od pewnego poziomu nie polega już głównie na kupowaniu i posiadaniu rzeczy. Polega na władaniu ludźmi. Zaspokajają też próżność bogaczy. Bo gdyby wszyscy mieli tyle samo, co on, to kim by gardził, nad kim się pastwił, wobec kogo się wywyższał?

I w ogóle, co by była za frajda być bogatym, gdyby wszyscy byli bogaci? Tę potrzebę wywyższania się głośny przykład zegarków w cenie mieszkania.

Nie chodzi więc tylko o to, że się nie chcą podzielić, ale i o to, że chcą się czuć lepsi, wyżsi, silniejsi, potężni – nigdy równi.

Humaniści przez duże „hu”



RYŚ: BARTŁOMIEJ BELNAK

Służą władzy lub własnemu ego.

Może to i głupie w dzisiejszych czasach obżarstwa i epidemii otyłości, ale nie lubię marnować jedzenia. Pewnie odzywa się we mnie potomek chłopiec pańszczyźnianych i wiejskiej biedoty powojennej, która nieraz chodziła głodna spać. Dziś modne teorie mówią, że jest coś na rzeczy w takim dziedziczeniu skłonności. Wolę, by mi coś w dupę poszło, niżby miało wyładować w śmietniku, gdy wydałam na to kasę, ktoś to wyprodukował, a ktoś inny by to zjadł ze smakiem. Masowe marnowanie zarcia przez sklepy uważam za obsceniczne i godne potępienia.

Za społecznie odpowiedzialnik marnowania jedzenia uważam to, co robi w Polsce duża część (może nawet większość, ciężko to policzyć) akademików z nauk społecznych i humanistyki, bo podział ten uważam za niecelowy. Jedni i drudzy zajmują się człowiekiem, którego naturalnym środowiskiem jest towarzystwo innych ludzi, różne grupy i wspólnoty, a także otoczenie przyrodnicze.

Gwoli ścisłości, nie jestem prowincjonalna – zdaję sobie doskonale sprawę, że dzisiejszy stan humanistyki i nauk społecznych w naszym kraju jest wynikiem splotu wielu globalnych sił, że w niejednym kraju rozwiniętego kapitalizmu rzeczy mają się podobnie. Ale tu żyję, te realia znam na co dzień, w nich funkcjonuję od parunastu lat jako wykładowczyni, mając skądinąd na koncie nagrody rektora za osiągnięcia naukowe. Więc mogę o tym kompetentnie coś powiedzieć.

Z okazji rozpoczynającego się roku akademickiego warto pochylić się nad tysiącami akademików, dzięki którym Polska jest prymusem na mapie liczby osób z wyższym wykształceniem. I opisać dwa często spotykane pośród nich typy, aby czytelnicy zrozumieli, co się odpiędała za ich ciężko zarobione pieniądze.

Wolni czy swawolni?

Nie widzę przeszkód – odpowiedział ślepy koń na pytanie, czy jest w stanie wygrać Wielką Pardubicką.

Akademicy też nie widzą przeszkód, aby skupiać się na bzdurnych tematach, celebrować własne ego, mieć w dupie zwykłych ludzi i ich problemy, pękać z dumy, że mówią językiem preten-sjonalnym, którego nie sposób zrozumieć.

Nie czują dyskomfortu płynącego z faktu, że pani z Zabki czy magazynier na wózku widłowym swoimi podatkami finansują ich, a oni w zamian pokazują

im środkowy palec i czują się kimś lepszym. Gwoli ścisłości: bezzasadnie. Bo o ile nie sposób sobie wyobrazić społeczeństwa bez panów remontujących domy czy pań podcierających tyłki staruszków, gdyby wszystkie te nieroby po prostu zniknęły, mało kto by to zauważył.

A co, ktoś ma mi mówić, co mam robić? – mówią zwykle uczeni na pytanie, czemu zajmują się nieistotnymi pierdołami za publiczne pieniądze. Nie widzą w swym zachowaniu niczego niestosownego. Nie czują się bynajmniej niekomfortowo, kochają grzebanie się we własnych flakach, dzielenie włosów na czworo i gardzą sprawami przyziemnymi, które większości Polaków zajmują 90 proc. czasu. Nie sądzą, aby mieli wobec maluczkich, którzy ich utrzymują, jakiegokolwiek powinności.

Najłatwiej to wyjaśnić na pouczającym przykładzie, typie idealnym, jak by powiedział Max Weber. Akademiczka Anna z dużego miasta wojewódzkiego jest zatrudniona na publicznym uniwersytecie. Używa feminatywów oraz rodzaju nijakiego, odnosząc się do osób niebinarnych. Jeździ i lata po konferencjach krajowych, czasem zagranicznych, aby mówić zawiłym, hermetycznym językiem o mądrości dżdżownic i poczuciu jedności z przyrodą, gdy wiatr jej rozwiewa włosy na norweskich fiordach. Jest zakochana w sobie z wzajemnością. Czuje, że reprezentuje wyższą rasę, która przeniknęła zagadkę bytu i wzniosła się ponad, pożał się Boże, szaraczków z ich nudnym życiem. Jest, mówiąc językiem piosenki Kabaretu Starszych Panów, *subtelna jak woń hubinu wśród pol*.

Kiedy Anna idzie do opery, uważa, aby nie potknąć się o bezdomnych. Ale są oni dla niej prze-zroczystości. Myśli o kunszcie, jaki ma zaprezentować nowy baryton, gwar miasta zaś nastroja ją do refleksji, że przypomina ono ul, a ostry zapach dobiegający z pobliskiej orientalnej restauracji skłania ją do medytacji o hybrydyzacji świata, jego fascynującej różnorodności, którą ona – zespólna z globalną siecią istot żywych i przyrody nieożywionej – potrafi swym pięknym umysłem kontemlować.

Ślugusy możnych i zamożnych

Druga kategoria akademików przyswoiła sobie słowa Jezusa, że nie można służyć dwóm panom, Bogu i mamonie. Olała służenie prawdzie i powszechnej emancypacji, wybierając bycie na posyłki u tych, którzy i tak już są silni: korporacjom, politykom i technokratom – piejąc peany na cześć Kaczyńskiego lub Tuska czy też śląc rozpisane na długość książki listy miłosne do Brukseli czy Watykanu.

Ci ludzie nie zawsze są jakoś bardzo inteligentni, ale zawsze są bardzo sprytni. Wiedzą, z której strony chleb jest smarowany masłem, że koryto jest wąskie, ale głębokie. Najbardziej wytrwali i zręczni z nich zostają krezusami, są członkami rad nadzorczych, dostają wypasione granty krajowe i międzynarodowe, piszą ekspertyzy dla potężnych koncernów, szkolą menedżerów, aby lepiej manipulować podległym personelem i zwalniać z roboty tak, aby było miło i kulturalnie.

Niektórzy idą wprost w politykę, bo wiadomo, że najlepiej utuczyć się na państwowym. Jednocześnie pracują na uczelniach, którym – jako decydenci – dosypują forsy, przez co stają się ludźmi niezwykle

wpływowymi, do których ląsają się dyrektorzy instytutów, dziekani czy nawet rektorzy. Jeśli nie wierzyć, prześledźcie karierę Przemysława Czarnka.

Niech za model takiego postępowania posłuży politolog Zenon. Robi on zadziwiającą błyskawiczną karierę, bo wie, pod kogo się podczepić i jak niekontrowersyjne i modne tematy poruszać. Uwielbia zasiadać w różnych gremiach, które decydują o awansach naukowych i dzielą forsy, za którą sam potrafi niuchać niczym świnią za trufkami.

Zenon zajmuje się europeizacją, bo poza złotówkami, ma słabość do euro oraz latania po krajach unijnych w celach badawczo-turystycznych. Wyczuwa, z której strony wieje wiatr, potrafi uzasadnić najgorsze decyzje na poziomie struktur europejskich jako mądre i godne pochwały. Otacza się wyłącznie tymi, którzy mogą mu pomóc w karierze i byciu krezusem przed czterdziestką. Myśl, że mógłby zająć się czymś innym niż służenie ludziom z dobrego, bo europejskiego towarzystwa ludzi racjonalnych, nigdy nie zaświtała w jego głowie i raczej nigdy nie zaświta.

A gdzie studia krytyczne?

Na koniec coś optymistycznego. Zgodnie z prawami fizyki każda akcja rodzi reakcję. Nie wszyscy Polacy, którzy siedzą w naukach społecznych i humanistyce, służą korporacjom, polityce czy własnym rojeniom wielkościowym. Są badacze, którzy – jak zalecał największy polski humanista wszech czasów Zygmunt Bauman – z pasją tropią wszelkie sposoby nakładania wędzidla na ludzką wolność, tłumaczenia swobód, walczą z przemocą depcząca godność człowieka, a także z biedą, która upokarza i powoduje, że dana jednostka czuje się jak śmieć.

Zmaganiom z alienacją i atomizacją, czynieniem z człowieka przewidywalnej maszyny wykonującej zaplanowane przez kogoś innego zadania, służą studia krytyczne. Na koniec zatem zacytuję dwa cytaty z profesorów, którzy stali się już klasykami, zaczerpnięte z dostępnego online czasopisma naukowego, zatytułowanego właśnie „Studia Krytyczne”.

Mirosław Karwat w artykule zatytułowanym „O infantylności nauki”, trzeźwo zauważa: *Paradoks infantylności jako tendencji o zasięgu masowym – a nie jakiejś indywidualnej przypadkowej przypadłości jednostek, które nie zdolały „dorosnąć”, dojrzeć do roli społecznej, powierzonych im zadań – polega na tym, że jest ona skutecznym wyniszczeniem infantylnego postawy na całej reszcy ludzi uzbrojonych – wydawałoby się – w przesłanki samodzielności i dojrzałości przez zakres i poziom swojego wykształcenia oraz wieloletnie doświadczenie życiowe, w tym zawodowe.*

Tadeusz Klementowicz w tekście o „Niewolnikach Elseviera” nie bierze jeńców: *wdrażany system ewaluacji dorobku humanistyki jest formą wyzysku naukowców, choć przy entuzjastycznym wsparciu wyższego kręgu beneficjentów oraz naukowych nadgorliwców. (...) Ważny także jest fakt, że narzucony przymusem administracyjnym reżim publikacyjny wymusza i miejsce, i – wbrew pozorom – tematykę poszukiwań badawczych („co się sprzedaje, a co nie – w grantach i w publikacjach”). Dlatego mamy tu do czynienia z systemowym gwałtem na autonomii procesów poznawczych, wolności nauki i służbie jakości społeczeństwa obywatelskiego.*

Jeśli młode i średnie pokolenie będzie pamiętać, że stoją na ramionach takich olbrzymów, publiczne nakłady na humanistykę i nauki społeczne, mówiąc językiem biblijnym, nie padną na jałową glebę, ale przyniosą stukrotny plon.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

szem, istnieją restauracje, hotele, a nawet obiekty handlowe przeznaczone tylko dla dorosłych. Nie bez powodu. Jakiś czas temu w jednej z warszawskich restauracji przy stoliku obok mojego dwóch gentlemanów obficie podał posiłek kompotem z ziemniaków. Kiedy jeden z nich zaczął przegrywać z grawitacją, pani kelnerka grzecznie oznajmiła, że to koniec imprezy. Panowie z lekkim fochem opuścili lokal. Gdyby w ich miejscu siedziała rodzina z purchlakiem demolującym otoczenie fizycznie bądź dźwiękowo, a kelnerka wyprosiłaby towarzystwo, gównoburza sięgnęłaby najpewniej ratusza. Właśnie dlatego istnieją lokale z zakazem wstępu dla dzieci, żeby dorośli mogli zjeść posiłek w spokoju. Analogicznie, żeby Wiśniewskiego nie piekła dupa, w kawiarniach dla dzieci nie można się najebać i nikt tego nie nazywa dyskryminacją. Tak samo jest z hotelami: rozbisurmanionego dorosłego skuje policja, rozwydrzonego gówniarza nie można nawet zamknąć w schowku na szczotki, ale spokojnie, są i hotele dla rodzin z dziećmi, gdzie nikt na smarki nie narzeka.

Tak naprawdę to teza Wiśniewskiego, że Polacy nienawidzą dzieci, najbardziej je odczłowiecza. Bo kaszojady są ludźmi, tylko małymi, jedne się lubi, a innych nie – zupełnie jak dorośli. I głównie od dorosłych zależy, do którego społecznego wora trafi ich bombelelek.

I teraz gwóźdź programu: pod koniec rozmowy w TVN prowadzący zapytał Wiśniewskiego, czy ma dzieci. *Nie wiem* – odpowiedział i dodał, że książkę napisał, żeby rozmawiać o wszystkich dzieciach, a nie o sobie. Mam dla Wiśniewskiego radę: niech sprawdzi, czy jakiegoś dziecka nie zrobił, albo świadomie sobie jedno dziecko machnie. Może wtedy dotrze do niego, że mimo stref bez dzieci wciąż można z nimi wyjść poza próg domu, a komfort dorosłych to nie objaw faszyzmu.

IDALIA DUBICKA

SŁOWO CZERWONE

Wielu ludzi sukcesu lubi też stawiać siebie za wzór. Opowiadają więc o swoim smutnym życiu pełnym wyrzeczeń. I jeżeli połowa z tego jest prawdą, to mimo wszystko nie warto się z nimi zamieniać.

Mitowi, że bieda wynika z lenistwa, przeczy statystyka, z której wynika, że jesteśmy jednym z dwóch – obok Greków – najbardziej zapracowanych społeczeństw w Unii.

A duża część tych zasuwających bez wytchnienia Polaków to pracujący biedni; ludzie, którzy za dużo pracują i za mało zarabiają. Ich życie jest smutne, a bieda upokarzająca.

Nie znam wielu ludzi bardzo bogatych, ale mogę ich obserwować na drogach. Trudno mi uwierzyć, że ludzie w drogich SUV-ach trąbiący bez przerwy, wściekle wygrażający pięściami i wrzeszczący ze złości na kierowców przestrzegających ograniczeń prędkości są szczęśliwi.

Liberalowie prawią, że gdyby zabrać bogatym i takim biednym, to nie zlikwidujemy biedy. Nie mają racji: w krajach takich jak Dania system progresywnych podatków i państwa socjalnego sprawia, że nie ma tam wielkich różnic majątkowych, a ludzie są bardzo szczęśliwi.

W Polsce, kraju wielkich i coraz większych nierówności społecznych, jakimś cudem nie dochodzi do buntu społecznego. To wina propagandy, która potępia przegranych i każe wielbić zwycięzców.

Jeżeli jednak mamy zatrzymać proces bogacenia się bogatych i biednienia biednych, musimy się zbuntować. To wymaga jednak uwierzenia, że dla barbarzyństwa *made in USA*, czyli modelu, w którym zwycięzca bierze wszystko, a ostatnich gryzą psy, jest alternatywa. Kiedy o niej marzę, nazywam ją socjalizmem. A wy?

PIOTR IKONOWICZ

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ To, co robią obecnie w szkole, rozseksualizowanie dzieci, to jest dramat. **Chcą rozbudzić ciekawość seksualną i okaleczyć człowieka na całe życie, uczynić go tylko takim przedmiotem do hedonizmu. To szatan wypacza tę sferę, bo ona ma służyć w uczestniczeniu w akcje stwórczym Boga (...).** A oni co robią? Rozseksualizują dzieci i co później? **Dzieci wcześniej zaczynają życie służące jedynie zaspokajaniu zmysłów, życie bez sensu, nieszczęśliwe, prowadzące do psychicznych, duchowych zranień, dewiacji.**

o. Tadeusz Rydzik, „Nasz Dziennik”, 15 września

■ **Ideologiczny gwałt na naturze** obraca się przeciwko człowiekowi.

ks. Janusz Chyła, X, 16 września

■ Myślę, że **pomoc Kościoła będzie znacząca, jeżeli kilkanaście milionów ludzi w niedzielę złoży hojny dar dla powodźian. Potrafimy być hojni. Dobrze by było, gdyby ludzie w niedzielę do kościoła wzięli kilkadziesiąt złotych więcej.** To będzie znaczący wpływ, który będzie rozdysponowany przez miejscowe Caritas.

kard. Kazimierz Nycz, niedziela.pl, 19 września

■ Dziękujemy Józefowi i Wiktorii [Ulmom – przyp. Red.] szczególnie za to, że nas napominają (...) Dziękujemy wam także za to, że **ofiara złożoną ze swojego życia kierujecie dzisiaj najwyższy stopień upomnienia do tych wszystkich, którzy zabijają dzieci w łonach matek; uprawiają ten bestialski proceder w waszym państwie i czynią z niego cyniczny program wyborczy.** (...) Dziękujemy wam za najwyższy rodzaj upomnienia, jakie kierujecie do tych Polaków, którzy odwracają się od Boga, Kościoła, Krzyża i Ewangelii, brutalnie reagując na każdy przejaw chrześcijańskiego życia.

bp Jan Wątroba, homilia w Dębowcu, 15 września

■ Od wielu już lat jesteśmy świadkami ataku na szkolną katechezę, który w ostatnim czasie bardzo się nasilił. **Trzeba też z całą mocą przypominać o nieustannym atakowaniu i ośmieszaniu podstawowej komórki społeczeństwa, jaką są małżeństwo i rodzina, dehumanizację nienarodzonych dzieci i kwestionowanie prawa do życia każdego człowieka, od poczęcia do naturalnej śmierci.** (...) Nie możemy być milczącą większością narodu. Trzeba przezwyciężyć strach i wystrzegać się jałowego spokoju.

abp Józef Guzek, Jasna Góra homilia, 15 września

■ Ministerstwo Edukacji postawiło sobie za cel ideologizację polskiej szkoły. (...) Odbija się to przez wprowadzenie ideologii gender i lgbt. (...) **Przewrotnie wmawia się, że celem szkoły jest budowanie „inkluzywnej społeczności” i „sojusznictwa rówieśniczego” nastolatków doświadczających „homofobicznej i transfobicznej przemocy”. Należałoby zauważyć, że jest wręcz odwrotnie. To uczniowie, którzy rozwijają się zgodnie ze swoją chłopięcą czy dziewczęcą naturą doświadczają wykluczenia ze strony środowiska lgbt.**

dr Andrzej Mazan, „Nasz Dziennik”, 21–22 września

KLECHA

Tu mówi Bozia

Objawienia są prawdziwe, jeśli przynoszą zyski

Watykan wypowiedział się na temat „objawień” w Medugorje. Do sanktuarium w Bośni i Hercegowinie każdego roku przybywa kilka milionów pielgrzymów, a codziennie zagląda Matka Boska z nowym przesłaniem. Kariera tego przybytku opiera się na urojeniach szóstki tzw. widzących, którzy twierdzą, że są w osobistym kontakcie z Maryją. Zaczęło się w 1981 r. i trwa do dziś, choć nie do wszystkich matka Jezusa przychodzi tak często. Część z nich jeździ po świecie ze swoim show i kontaktuje się z niebiosami na oczach spragnionego niezwykłości tłumu. Maryja jak to Maryja: każe się modlić, pościć, spowiadać i pokutować. I tak od ponad 40 lat. Nic, czego by nie mówiła inna Maryja w innym sanktuarium. Na korzyść Medugorje działa to, że jest tańsze niż Fatima czy Lourdes, zatem więcej ludzi może sobie pozwolić na taką wycieczkę.

Mają przesłane

Watykan od lata bada sprawę, ale ciągle bez ostatecznych konkluzji. Najłatwiej byłoby „widzących” wysłać do psychiatry, ale sprawa przybrała takie rozmiary, że wymknęła się spod kontroli. Interes zwachali bośniaccy franciszkanie, którzy – mimo składanych ślubów ubóstwa – rozkręcili ten biznes. Wzięli „widzących” pod swoją opiekę i stworzyli prężnie działający ośrodek. Miejscowe władze kościelne z początku niechętnie patrzyły na wyrastające pod ich nosem sanktuarium, nad którym nie miały pełnej kontroli. Ale w końcu musiały się poddać.

Młyny watykańskie miały powoli. Centrala Kościoła kat. bardzo ostrożnie wypowiadała się na temat objawień. Z jednej strony codzienne pogawędki z „Gospą” (tak na Bałkanach mówią na Maryję) to za dużo nawet dla Rzymu. Z drugiej zaś strony papiescy urzędnicy nie chcą spłoszyć tych tłumów, które przyjeżdżają do Medugorje. Wią się więc jak piskorz, żeby nie przyznać, że to wszystko ściema, i okrągłymi zdania- mi owijają w bawełnę.

Polski akcent

Swego czasu papieskim wysłannikiem mającym zbadać przypadek Medugorje był nieżyjący już abep Henryk Hoser. Mógł badać dosłownie, bo z wykształcenia był lekarzem – niestety internistą, a nie psychiatrą. Jak na lekarza głosił dość osobliwe poglądy, choćby na temat in vitro, ale zapamiętany będzie głównie z tego, że nigdy nie wytłumaczył się ze swojej przeszłości w Rwandzie w czasie trwania ludobójstwa. Ludobójstwo, w przeciwieństwie do objawień, istniało. Hoserowi łatwiej było opisywać cudze zmyślenia niż własne życie.

19 września wydano kolejny dokument dotyczący objawień. Stojąca na straży katolickiej doktryny Dykasteria Nauki Wiary opublikowała kilkunastostronicowy dokument, z którego wynika tyle, ile z samych objawień, czyli niewiele. Papiescy spece od zjawisk paranormalnych nazywają objawienia „domniemanymi”. *Wierni muszą być uważni i ostrożni w interpretowaniu i rozpowszechnianiu domniemych objawień. Aby zapewnić niniejszym pewną orientację, wskażmy na niektóre przesłania, które należy rozważyć ze szczególną troską, chociaż wiele z nich można odpowiednio zrozumieć w świetle wszystkich objawień jako całości* – piszą rzymscy teologowie i wskazują, że w niektórych przypadkach Matka Boża wydaje się okazywać pewną irytację, ponieważ niektóre z Jej wskazań nie zostały wykonane; ostrzega przed groźnymi znakami i możliwością niepojawienia się więcej, nawet jeśli objawienia są później kontynuowane bez przerwy. Aż dziw, że nie dodali „jak to kobieta”.

mają dla władz Kościoła niebagatelne znaczenie, ale pieniądze lubią ciszę.

Rzymscy oficjele zastrzegli też, że uzurpują sobie prawo do kontroli kolejnych orędzi Matki Boskiej. Inkwizycja musi czuwać nad tym, żeby Maryja jakichś głupstw nie naplotła. Wiadomo, papież wie lepiej, co ma Bóg i jego dwór do powiedzenia ludziom. Od tego jest. W końcu to papież jest nieomylny, a nie Bóg. A co dopiero Maryja! Kobieta w Kościele nie ma wiele do powiedzenia, nawet jeśli jest matką założyciela.

Zgniłe owoce

Z ciekawszych owoców Medugorje można wymienić na przykład historię franciszkanina Tomislava Vlasica, niegdysiejszego opiekuna „widzących”. Nadprzyrodzone zjawiska tak go podnieciły, że nie zapanował nad przyrodoznictwem i wdał się w romans z zakonnicą. Watykan zarzucił mu też szerzenie wątpliwej doktryny, manipulację sumieniami, podejrzany mistycyzm i nieposłuszeństwo w stosunku do prawomocnie wydanych nakazów. W 2008 r. został zwolniony przez papieża ze ślubów zakonnych i przeniesiony do stanu świeckiego. Mimo to kontynuował działalność w habicie. W 2020 r. doczekał się ekskomuniki, czyli ostatecznego wykluczenia z Kościoła za nielegalną działalność kapłańską. Wielkim fanem i propagatorem objawień



Maryja na cenzurowanym

Zachwyca pełna powaga, z jaką ci teoretycznie wykształceni ludzie piszą o sprawach, które w naturalnym odruchu budzą najwyżej pusty śmiech. Ostatecznie łaskawcy z Watykanu pozwalają owieczkom jeździć do miejsca objawień, nie przesądając wszakże, czy Bozia we własnej osobie rzeczywiście tam bywa. Zwracając uwagę na owoce, które przynosi pobyt w Medugorje, czyli nawrócenia, uzdrowienia czy tzw. powołania kapłańskie. *Natychmiastowym efektem zjawisk z Medjugorja jest duża i rosnąca liczba jego zwolenników na całym świecie oraz wielość osób najróżniejszego pochodzenia, które udają się na pielgrzymkę do tego miejsca* – zauważają urzędnicy, dyplomatycznie pomijając wątek finansowy. Niewątpliwie owoce materialne

z Medugorje jest także ks. Piotr Glas aktualnie broniący się w Wielkiej Brytanii przed zarzutami popełnienia przestępstw wobec dzieci. Glas, specjalista od demonów, poleca wszystkim Medugorje, gdzie sam często był. *Odwiedzam Medugorje już od 1996 roku i nie mogę sobie wyobrazić mojego życia teraz, będąc księdzem, bez tego miejsca, bez bycia blisko mojej Matki, Matki Maryi* – wrzeszał się egzorcysta na dostępnym w sieci filmiku. Jeśli go posadzą, to będzie musiał sobie wyobrazić życie bez Medugorja przez dłuższy czas.

Za te zgniłe owoce to my podziękujemy. Jeśli taki jest koszt gadania z przedstawicielami zaświatów, pozostaniemy przy naszych przyziemnych rozrywkach.

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ 16 września w Sądzie Rejonowym w Nowym Targu zapadł wyrok w sprawie księdza Mariana W., byłego proboszcza m.in. w Grywałdzie w pow. nowotarskim. Księżuło był oskarżony o popełnienie między 2003 a 2012 rokiem aż 12 przestępstw seksualnych wobec 11 małoletnich, w tym siedmiu poniżej 15. roku życia. Zarzucone klesze czyny miały polegać na doprowadzeniu dzieciaków do poddania się różnego rodzaju tzw. innym czynnościom seksualnym. Decyzją sądu ks. Marian W. za swoje czyny pedofilskie spędzi 12 lat więzienia w systemie terapeutycznym. Skazany otrzymał 15-letni zakaz zbliżania się do ofiar na odległość bliższą niż 50 m, zakaz kontaktowania się z nimi oraz jakiegokolwiek działalności z dziećmi. Ma także zapłacić łącznie 255 tys. zł zadośćuczynienia pokrzywdzonym i 15 tys. zł kosztów sądowych. Po odbyciu kary więzienia ks. Marian W. zostanie skierowany na leczenie farmakologiczne.

➤ Prokuratura Rejonowa dla Wrocławia Śródmieście prowadzi postępowanie przeciwko księdzu Krzysztofowi S. podejrzananemu o posiadanie 50,52 gramów

substancji psychotropowej – kiefedronu. Do wpadki duchownego doszło w wyniku donosu osoby prywatnej, Adama Nowaka. Świadek miał poznać klechę na prywatnej imprezie, gdzie Krzysztof S. przedstawiał się jako pracownik korporacji. Kiedy Nowak zorientował się, że nowy znajomy dosypał mu czegoś do drinka, opuścił balangę, a następnie rozpoczął własne śledztwo. Odkrył, że Krzysztof S. jest księdzem i dilerem narkotyków. Przez kilka tygodni utrzymywał znajomość z mężczyzną. Umawiali się na transakcje narkotykowe, ksiądz miał sprzedawać prochy nawet w pobliżu plebanii. Po zebraniu odpowiedniej ilości dowodów Nowak powiadomił policję. Klecha wpadł podczas jednej z transakcji. 13 września decyzją prokuratora wobec dilerów w koloratce zastosowano środki zapobiegawcze w postaci poręczenia majątkowego w wysokości 10 tys. zł oraz zakaz opuszczania kraju. Śledztwo jest w toku.

➤ Zakończyło się śledztwo w sprawie księdza z Sanoka, który miał uderzyć ucznia za to, że dotknął jego gitary. W toku postępowania wyszło na jaw,

że pokrzywdzonych dzieci jest więcej. Do podobnych zająć miało dochodzić zarówno na terenie szkoły, w której uczył katecheta, jak i w salce przy parafii. 30 sierpnia 2024 r. wpłynął prokuratorowi wniosek w sprawie duchownego o wydanie wyroku bez przeprowadzenia rozprawy. Prokurator zawnioskował o karę 6 tys. zł grzywny i dwuletniego zakazu wykonywania zawodów związanych z wychowywaniem, edukacją lub opieką nad dziećmi. Księżuło złożył wyjaśnienia i dobrowolnie poddał się karze.

➤ Delegat biskupa płockiego ds. formacji stałej duchowieństwa ks. kan. dr Jarosław Kwiatkowski zwrócił się do księży diecezji płockiej, aby w związku z seksskandalem w Drobinie podjęli modlitwę wynagradzającą oraz wzmacniającą duchową więź między kochającymi Boga i Kościół. Poprosił księży, by w swoich dekanatach w piątek 20 września razem modlili się i pościli. Nie chcemy nic sugerować, ale wszystkie te nieszczęścia wzięły się chyba właśnie z wyposzczenia.

KLECHA

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



WIARA CZYNI CZUBA

1. Wicegubernator Karoliny Północnej Mark Robinson to nowa gwiazda republikanów i kandydat na gubernatora: czarnoskóry prawak, zwolennik zakazu aborcji i aresztowania transkobiet, które używają damskich toalet. CNN odkrył, że zanim zajął się polityką, Robinson miał zgola inne poglądy: był szalenie aktywny na forum dyskusyjnym strony „Naga Afryka”, zawierającą pornografię, między innymi z udziałem osób trans, na które Robinson zwracał szczególną uwagę. *Lubię oglądać porno trans z dziewczynami! To zabójście podniecające!* – pisał w swoich szczerych, podpisanych nazwiskiem komentarzach, dodając z dumą, że jest czarnym naziolem, a niewolnictwo nie jest złe. Donald Trump nazywa Robinsona *Martinem Lutherem Kingiem na sterydach*, co nie musi być komplemtem – skoro kandydat uważa, że King to *pierdolony komuszy bękart*.

2. We franciszkańskim klasztorze La Verna w Toskanii zakończyły się obchody 800. urodzin stygmatów św. Franciszka. W tym właśnie miejscu, 17 września 1224 r., wtedy jeszcze nieświęty Franciszek kontemlował klify i piękności lokalnej formacji skalnej, która powstała w momencie śmierci Chrystusa, symbolizując udział ziemi w Męce Pańskiej. Nie wiadomo, czy Franciszek jako pierwszy wpadł na to, że na okoliczność śmierci Jezusa ziemia pękła właśnie w Toskanii, wiadomo za to, iż został nagrodzony otworami w różnych nienaturalnych miejscach. Obchody urodzin otworów zakończyło pobłogosławienie świata relikwiami krwi ze stygmatów, dokonane osobiście przez ojca Massimo Fusarellego, generała franciszkańskiego Zakonu Braci Mniejszych i 121. następcę św. Franciszka z Asyżu.

3. Z kolei w Neapolu, w miejskiej katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, krew świętego Januarego, męczennika z III w., skropiła jak zwykle podczas porannej mszy 19 września. Januariusz skrapla się trzy razy do roku: w pierwszą sobotę maja, w swoje święto 19 września i 16 grudnia, w rocznicę wybuchu Wezuwiusza w 1631 r. Nieskroplenie Januarego w którykolwiek z tych dni sygnalizuje wojnę, głód lub zarazę. Januariusz zastrajkował również w roku, w którym Neapol wybrał komunistycznego burmistrza, za to nadmiarowo skropił się w 2015 r. z okazji wizyty Franciszka w Neapolu. Było to pierwsze skroplenie na benefis papieża od roku 1848, kiedy to święty uhonorował Piusa IX. Warto odnotować, że JP2 został totalnie zlekceważony w październiku 1979 r., podobnie jak Benedykt XVI w październiku 2007 r.

4. *Struikelsteen* to holenderska nazwa mosiężnych tabliczek z nazwiskami, datami urodzin i śmierci oraz opisem losu poszczególnych ofiar nazizmu, wmurowywanych w bruk; można ją przetłumaczyć jako „potykacz”. Aktywiści Jan Boxem i Steven Brandsma chcą uhonorować w ten sposób grupę 45 mężczyzn z Haarlemu zagazowanych „eksperymentalnie” po tym, jak w ręce Niemców wpadły listy radykalnych związkowców i komunistów sporządzone przez holenderskie służby specjalne. Władze miasta są niechętne. *W Haarlemie podjęto decyzję o umieszczeniu potykaczy specjalnie dla Żydów* – mówi rzecznik burmistrza Josa Wienena. *Jeśli ktoś chce uhonorować ofiarę, która nie należała do tej grupy, to zastanawiamy się, czy istnieje inny sposób, aby o niej pamiętać lub zwrócić na nią uwagę.* W hierarchii ofiar komunizmu i działaczy robotniczych nie zasługują nawet na potykacz.

5. Czwarty cokol Trafalgar Square to pusta kolumna, na której 150 lat temu miał stanąć pomnik Wilhelma IV Hanowerskiego (byłego króla Wielkiej Brytanii), ale zabrakło funduszy. Od końca XX w. wykorzystywana jest jako miejsce czasowych instalacji artystycznych. Najnowszą składa się z gipsowych odlewów twarzy 726 osób trans i niebinarnych, które padły ofiarami przemocy ze względu na swoją tożsamość. Autorka Teresa Margolles tłumaczy, że dzieło jest hołdem dla jej transpłciowej przyjaciółki Karli zamordowanej w meksykańskim Juárez; przez dekadę nikt nie został za to skazany. Angielscy bigoci dostali amby – nieuchronnie wpłatając w nią Elżbietę II. Bo nie dość, że na instalacji znalazły się twarze wielu pracowników seksualnych – to jeszcze wszyscy wiedzą, że *jedynie, co powinno się tam znaleźć, to pomnik naszej wspianej zmarłej królowy Elżbiety II. Permanentnie!*



Kościół się liczy (z kosztami).

Papież – to jest firma! – stwierdza Żyd Moryc w „Ziemi Obiecanej”, porównując przepych katolickich kościołów i obrzędów z surowym stylem żydowskich bożnic czy protestanckich zborów. Nie bez powodów mówi się przecież *pusto jak w kalwińskim zborze*. Rzymski katolicyzm zawsze lubił na bogato, a okazałe budowle i błyszczące stroje hierarchów są jego wizytówką. Życie kościelnych dostojników kojarzy się ze wszystkim poza skromnością.

Nic dziwnego, że finanse tej instytucji budzą takie emocje. Zwłaszcza że nie słynie ona z transparentności, delikatnie rzecz ujmując. Od pewnego czasu bank centralny Watykanu, czyli Administracja Dóbr Stolicy Apostolskiej (APSA) publikuje doroczny raport na temat stanu posiadania firmy Pana Boga. Bida aż piszczy w tym Watykanie.

Niebieska deweloperka

W ubiegłym roku odnotowano 45,9 mln dolarów zysków. Lwią część pochłania watykańska biurokracja. Na finansowanie „misji papieża”, czyli utrzymanie Kurii Rzymskiej i armii urzędników przeznaczono 37,9 mln. 27,6 mln wyciągnęli z papierów wartościowych, reszta wzięła się z wynajmu nieruchomości. A tych APSA wynajmuje sporo, bo ponad 5 tys. W posiadaniu papieża są nieruchomości nie tylko we Włoszech, ale także we Francji, Wielkiej Brytanii i Szwajcarii. Od Franciszka

Inżynier Mammon

można wynająć biblioteki, klasztory, stajnie czy garaże. A więc nie tylko handel kwaterami w niebie. Na ziemi też mają całkiem sporo budynków.

Włoski dziennik „La Repubblica” dotarł do szerszego sprawozdania finansowego, z którego wynika, że Watykan ma 84 mln dolarów deficytu budżetowego, o 5 mln więcej niż rok wcześniej. Oczywiście te dane to oficjalnie zaksięgowane pieniądze. Nie należy zapominać, że przez wszystkie tamtejsze instytucje przepływa morze nierejestrowanej gotówki.

Reforma watykańskich finansów to jedno z najważniejszych zadań, jakie postawił przed sobą aktualny papież. Prawie każdy papież chciał, ale żadnemu się dotychczas nie udało. Papieskie plany uzdrowienia sytuacji budżetowej wywołały lawinę zakulisowych gier na pograniczu przestępstwa. Tłuste koty, którym dobrze jest, jak jest, nie są chętne do oddawania swoich uposażeń i przywilejów, którymi cieszą się od lat.

Papieska pralnia

Watykański Urząd Informacji i Nadzoru Finansowego informuje z kolei, że coraz lepiej radzi sobie z przekrętami przy użyciu Instytutu Dziel Religijnych, zwanego też Bankiem Watykańskim. W ubiegłym roku zgłoszono ok. 120 podejrzananych transakcji, 11 trafiło do watykańskiej prokuratury. Papiescy urzędnicy od finansów zarzekają się, że jest coraz lepiej i będzie jeszcze lepiej, bo wdrażają procedury walki z praniem pieniędzy i terroryzmem przygotowane przez międzynarodowe instytucje finansowe. Pożyjemy, zobaczymy – nie takie rzeczy już obiecywali. Nie bez przyczyny Bank Watykański cieszył się przez lata opinią rajy na ziemi dla malwersantów i gangsterów.

Braki w kasie Watykanu nie odbijają się specjalnie na poziomie życia dostojników, ale rykoszetem uderzają w cywilów pracujących w tym państwie-mieście. Trzeba ciąć koszty, ale nie kosztem purpuratów. Choć im także się oberwało. W ubiegłym roku papież pozbawił kardynałów i wysokich rangą urzędników Kurii Rzymskiej przywilejów mieszkaniowych. Wielu z nich mieszkało za darmo lub prawie za darmo w rzymskich apartamentach, nieraz liczących

po kilkaset metrów kwadratowych. Franciszek zdecydował, że będą musieli płacić stawki komercyjne. Jakoś sobie poradzą, na biednych nie trafiło.

Rzymski proletariat

Gorzej ze świeckimi. Pracownicy kościelni, którzy nie noszą habitów i sutann, zrzeszyli się i

protestują przeciwko antypracowniczym standardom, które zaczynają panować w Watykanie.

W sierpniu członkowie stowarzyszenia opublikowali list otwarty, w którym zwracają uwagę, że to, co im się proponuje, odbiega od wizji relacji pracowniczych, które publicznie postuluje Franciszek, deklaratywny przeciwnik wyzysku.

To radykalna zmiana kursu; od niewielkiej wspólnoty, inspirowanej wartościami Ewangelii, do firmy w pełnym tego słowa znaczeniu – podsumowują ewolucję Kościoła kat.

Papież wielokrotnie podkreśla, że dowodzona przez niego instytucja nie może kojarzyć się z firmą czy korporacją, ale ze *szpitalem polowym*. *Kościół nie jest wielką międzynarodową firmą, na której czele stoją menedżerowie analizujący przy stole, jak najlepiej sprzedać swój produkt. Kościół nie buduje siebie na podstawie własnego projektu, nie z siebie czerpie siłę, by iść naprzód, nie żyje strategiami marketingowymi – mówił na spotkaniu z dziennikarzami w 2021 r. Omamieni tą wizją watykańscy cywile są rozczarowani i zastanawiają się w ostatnim czasie nad naturą pracy w Stolicy Apostolskiej i nad sensem służby. Bycie częścią tej wspólnoty pracowników powinno oznaczać przynależność do specjalnej rodziny, charakteryzującej się specyficznymi wartościami, które nadają jej szczególnych cech wyróżniających na tle zewnętrznych firm, zwłaszcza prywatnych – piszą we wspomnianym liście. A więc rację miał przytoczony na wstępie Moryc. Zapomniał tylko dodać, że to firma w stylu najgorszych prywaciarzy.*

Chleba powszedniego

Papież i jego przybocznicy beznadziejnie rozkładają ręce i ze spuszczonej oczekami tłumaczą, że działalność charytatywna Kościoła pochłania mnóstwo zasobów i trzeba ciąć wydatki na to, co nie jest niezbędne. Czyli na pracowników na przykład. Ważne, żeby w świetle kamer wręczyć jakąś karetkę Ukraińcom albo polansować się na obiedzie z bezdomnymi. Właśni pracownicy traktowani po ludzku nie są tak sexy. Pracować na chwałę bożą to przecież dla nich największe wynagrodzenie, a dopytywać papieża o pieniądze – grzech.

Jakby tego było mało, postępowy Franciszek zabronił pracownikom bazyliki św. Piotra tatuaży i kolczyków, za to nałożył obowiązek ślubu kościelnego. A więc biednie, ale za to po bożemu. Głodny wejście do Królestwa Niebieskiego, wytatuowany nie, zwłaszcza rozwodnik. Papież – to jest firma! Następny powinien przybrać imię Janusz.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Kup sobie metropolię

Aż dziw, że organa ścigania nie zauważyły jeszcze przekrętu „na promocję”.

Pomiędzy reklamą podpasek dla nietrzymających moczu panów i karmą dla kotów, która nie dość, że odchudza i regeneruje wątrobę, to jeszcze redukuje gazy i odświeża powietrze, od tygodni można zobaczyć spot ukazujący, jak Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia inspirowała, integruje i inicjuje działania.

Bruksela wzmacnia wizerunek

Czy znacie kogoś, kto chciałby sobie kupić jakąś metropolię? A może ktoś zna osobę, która po obejrzeniu takiego klipu rzuci wszystko w cholerę i przeniesie się w okolice Katowic? Najzabawniejsze, że reklamy nie chce nawet nikt oglądać w internecie. Przez rok miała na YouTube ledwie 707 wyświetleń. Oglądali ją pewnie ci, którzy za nią zapłacili oraz jej twórcy chwalcący się przed znajomymi, jakiego to jelenia z kasą namówili na coś, co w normalnym świecie dawno zwróciłyby uwagę prokuratury i służb monitorujących wydawanie publicznej kasy.

Nikt jednak na to nie wpadnie, bo oprócz reklam Metropolii Górnośląsko-Zagłębiowskiej w telewizjach lecają co jakiś czas spoty pokazujące, jaka to fajna jest Warszawa z jej jeszcze fajniejszym prezydentem Trzaskowskim. Inne regiony i samorządy od lat przestały wydawać kasę na promowanie wizerunku w telewizjach. Teraz wołają wydawać forsy na promocję dyskretnie, wśród firm od marketingu zaprzyjaźnionych z lokalną władzą.

Przed rządami PiS biznes wizerunkowy szalał. Na kampanie mającą zachęcać do inwestowania w Polsce Wschodniej potrafiło wydać 10 mln zł. 300 tys. zł poszło na przygotowanie kreacji – cokolwiek to znaczyło – oraz planu i harmonogramu realizacji działań, a 755 tys. zł na produkcję spotów. Resztę podzielono między telewizję, prasę, internet oraz krajowe firmy od reklamy zewnętrznej. Kampanię przygotowała wtedy Polska Agencja Informacji i Inwestycji Zagranicznych. Oczywiście większość pieniędzy na to przedsięwzięcie wyciągnięto z funduszy unijnych. Oficjalnym celem kampanii było zachęcenie do rozpoczęcia działalności biznesowej w województwach lubelskim, podkarpackim, podlaskim, świętokrzyskim i warmińsko-mazurskim. Oficjalnym, bo akcja skierowana była do szefów koncernów międzynarodowych, liderów opinii i międzynarodowych firm konsultingowych obsługujących inwestorów zagranicznych. Czyli w sumie może do kilkudziesięciu osób. Które na dodatek powinny być znane PAIIIZ z imienia, nazwiska i nawyków alkoholowych. Po cholerę zatem cała heca z telewizjami, tygodnikami i plakatami? Dlatego otóż, że trzeba było wydać unijny hajs. Jakby się go nie wydało, to byłby obciach.

Lepszy był zatem obciach przed ludźmi niż Unia. Zwłaszcza że PAIIIZ realizowała Program Promocji Gospodarczej Polski Wschodniej i musiała wydać do 2015 r. całe 86 mln zł.

Za to, że w telewizorze widziało się wówczas hasło „Województwo śląskie – tu się inwestuje”, samo-

rządowcy zapłacili 1 826 500 zł, z czego 85 proc. to były pieniądze unijne – wkład własny to drobne 273 975 zł. W spocie puszczanym w TVN24, TVN CNBC i Polsat News chodziło o to, że na Śląsku były tereny inwestycyjne, które miejscowy samorząd chciał sprzedać. Wiara samorządowców w to, że dzięki reklamie w TVN24 mógł się znaleźć ktoś, kto wyłoży kilkadziesiąt milionów, już wtedy była godna uwagi prokuratora. Nie zainteresował się tym jednak ani nikt od Seremeta, ani później od Ziobry.

Promuj się, kto może

Moda na promowanie miast i regionów nastała pod koniec pierwszej dekady tego wieku. Tyle że nie pojawiła się ona sama z siebie. Popyt został wywołany sztucznie przez media i agencje reklamowe, czyli beneficjentów promocyjnych pieniędzy. Miasta i gminy zaczęły masowo tworzyć biura promocji i zatrudniać w nich ludzi. Jak już biuro powstało, to trzeba było wymyślić jakiś jego budżet. A potem, jak to zwykle wśród urzędników, zaczęło się współzawodnictwo. Kto wyda więcej i o kim będzie głośniej. Firmy związane z rynkiem reklamowym zaczęły tworzyć rankingi najlepszych biur promocji i w taki sposób towarzystwo zaczęło istnieć tylko dla siebie.

Gdy na horyzoncie pojawiły się dotacje unijne, zaczęło być jeszcze ciekawiej. Nikt nie miał blądęgo pojęcia o efektywności kampanii. Nikt nawet nie próbował tego mierzyć. Wszyscy byli mamieni tym, że to naprawdę przynosi efekty. A w najgorszym razie, gdy tych efektów nie było, to wykładający kasę samorządowcy dowiadawali się, że gdyby nie promocja, to dopiero byłaby kicha.

Dolny Śląsk przez wiele lat wyklądał dziesiątki milionów złotych, by pokazać, że jest terenem przepięknym, zróżnicowanym krajozrazowo i ma w cholerę atrakcji turystycznych. To wszystko prawda. Tyle że o walorach tego regionu w Polsce wie każdy, kto umie czytać. Po co więc kampania „Dolny Śląsk. Dotknij tajemnicy”? Ano dlatego, że pierwsza część kampanii miała budżet 7,6 mln zł, druga część zaś 8,9 mln zł. 70 proc. z tego pozyskane było z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Z punktu widzenia tych, którzy kasą unijną zawiadywali, wszystko było w najlepszym porządku, bo emisje reklam miały pokrycie w oglądalności. Sęk w tym, że niewiele z tego dla turystyki Dolnego Śląska wynikło. Przez lata rządów PiS o walorach Dolnego Śląska w reklamach było cicho. W te wakacje jednak wróciły do telewizji – ciekawe dlaczego?

Dekadę temu kampania „Mazury cud natury”, czy jej kolejna odsłona z hasłem „Cudownie” pochłonęły 20 mln zł. Dofinansowanie unijne stanowiło niemal trzy czwarte tej kwoty. Pod hasłem „Świętokrzyskie czaruje” wydano 400 tys. zł, z czego 80 proc. było unijnych. Najciekawsze w tym

przekonywać miała, że Gorzów Wielkopolski jest miastem *sztytnym na miarę*, które najlepiej opisują przymiotniki *normalny, akuraty, w sam raz*.

Jednym z ostatnich podrygów pędu, o którym inni już zapomnieli, była w 2018 r. ogólnopolska kampania wizerunkowa regionu lubuskiego jako miejsca atrakcyjnego dla inwestora. „Siła przyciągania inwestorów” się nazywała. Kosztowała ponad 700 tys. zł, z czego ani złotówka nie była unijna.

Lubuskie jest jednak ewenementem. Ubiegłoroczna analiza wydatków na promocję w innych województwach pokazuje, że województwo to wydaje na nią najwięcej w Polsce. Nie tylko procentowo w odniesieniu do całościowej puli zaplanowanych wydatków, ale w realnych kwotach. W województwie lubuskim promocja stanowiła 4,57 proc. wydatków i wynosiła niemal 50 mln zł. W dużo większych regionach było tego mniej. W Podlaskim – 0,7 proc. (10,5 mln zł), na Śląsku 1,1 proc. (39,8 mln zł), w Małopolsce 0,9 proc. (23,5 mln zł), a w Łódzkiem 1,1 proc. (24,2 mln zł).

W tym roku w budżecie województwa mazowieckiego są takie pozycje jak: *promocja marki Mazowsza 49,5 mln zł, zadania z zakresu kreowania marki Mazowsze – 1,6 mln zł i turystyczna marka Mazowsza – 1,3 mln zł*. Podkarpackie rozpiśało zaś przetarg na realizację programu „Komunikacja i widoczność Funduszy Europejskich na Podkarpaciu w 2024 roku”. I nieważne, że *wartość zamówienia: 500 000,00 PLN*. Istotne, że *zamawiający informuje, że kwota brutto, jaką zamierza przeznaczyć na sfinansowanie zamówienia, wynosi – 615 000,00 zł*.

Uwolnione od rządu PiS miasta wcale nie chcą być gorsze. Kraków zapreliminował sobie na ten rok na promocję krakowskiego samorządu 35 mln zł. Ciekawie też jest w Łodzi, gdzie na *promocję jednostek samorządu terytorialnego* jeszcze w 2021 r. wydano 7,8 mln zł, rok temu puszczono na to 5,6 mln zł, zaś w tym roku promocja łódzkiej samorządności pochłonie 15,3 mln zł.

Całkiem inną bajką jest wspomniana na początku Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia, która skupia 41 miast i gmin. Od kiedy bowiem powstała, non stop robi kampanie mające mieszkańców Śląska i Zagłębia oraz reszcie rodaków przypominać, że istnieje. W 2022 r. opracowano zatem zreby kampanii, której *celem jest zbudowanie wiedzy o GZM, tak aby odbiorcy wiedzieli, jakie są jej granice i kompetencje oraz jakie korzyści wynikają z nich dla mieszkańców i gości. Kampania przez pokazywanie w sposób emocjonalny swojej unikalności ma budować markę Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii*. W maju zeszłego roku GZM rozpiśała przetarg, którego przedmiotem była *usługa zakupu mediów na potrzeby trzech kampanii promocyjnych: kampania ogólnopolska GZM, kampania Kierunek GZM, kampania Noc Teatrów GZM*. Budżet na ten cel wynosił 2,92 mln zł, a na teatry, z których ludność miejscowa miałaby jeszcze jakiś pożytek, miały iść z tej puli jakieś grosze.

To i tak nie, bo w tym roku GZM znalazła *możliwość dotarcia z ofertą promocyjną miasta do społeczników, ekspertów i samorządowców, publicystów oraz artystów z całej Polski*. Wpłaciła 15 tys. zł na stosowne konto i stała się patronem Campusu Polska. Dokładnie taką samą kwotą zasilili Campus samorząd Katowic. Więcej, bo 30 tys. zł za udział w Campusie jako partner zapłaciło województwo śląskie. Oficjele z sejmiku uzasadnili to tak: *Województwo śląskie umacnia wizerunek regionu atrakcyjnego do studiowania, pracy i życia*. Po czym dodali, że nie byli sami, bo poza Katowicami Campus zasilili m.in. Łódź, Gdańsk, Olsztyn, Bydgoszcz, Kraków i Lublin. Trzaskowski chwalił się, że na Campus zaprosił 1300 młodych ludzi bez znacniejszego dorobku politycznego bądź biznesowego. A nawet analfabeta marketingowy uznałby, że promowanie się wśród takiej grupy jest bez sensu.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

Beata Dżon-Ozimek
Powódź na Opolszczyźnie

Głupi Polak po szkodzie
Były protesty, nie ma zbiorników

Odszedł pan od seksu
Zbigniew Lew-Starowicz sprawił, że seks przestał być tabu

Jerzy Ziarkiewicz
czyli prokurator do tuszowania przestępstw

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

ROBIŁ CO CHCIAŁ

PAŃSTWO KACZYŃSKIEGO

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ W mieszkaniu na posesji przy ul. Jana Bytnara „Rudego” w Warszawie doszło do nierównego pojedynku między społeczeństwem w sile jednego obywatela a organami ścigania. Organa były uzbrojone w broń palną, a obywatel w broń białą. Obywatel zadał organom kilka ran ciętych w okolicach tydek. Organa odpowiedziały ogniem. Celnie ugodzony w klatkę piersiową obywatel zmarł w szpitalu w wieku lat 35.

■ Komenda Wojewódzka Policji w Katowicach chwali się swoimi łowami na niesfornych kierowców, prowadzonymi za pomocą sidła zwanych odcinkowymi pomiarami prędkości (OPP). Najlepsze wyniki finansowe policjanci uzyskują na OPP Drogowej Trasy Średnicowej nr 17 w Katowicach. Zasadzkę zainstalowano zaledwie w lipcu, a już

jest kilkadziesiąt tysięcy. Jednego jelenia udało się trafić na 89 punktów karnych i 5700 zł w mandatach. Brawo, śląska policja!

■ Z ułańską fantazją walczą również w Komendzie Miejskiej Policji w Gdańsku. Obecnie poszukuje się husarza (w krótkich spodenkach i koszulce bez rękawów), który na Alei Macieja Płażyńskiego w kierunku tunelu pod Martwą Wisłą regularnie rozwija prędkość 299 km/h. Powstałe podczas tej jazdy etudy filmowe publikuje w mediach społecznościowych. Coś takiego! W czasach prawdziwego ułaństwa z podobną prędkością latały tylko niektóre samoloty, a teraz nawet jeżdżą jednoślady.

■ Polscy strażacy wyłowili z wód Bobru dwóch marines stacjonujących w Trzebień Camp (pow. bolesławiecki, woj. dolnośląskie). Amerykańscy marynarze umieli wprawdzie pływać, ale po 200 m okazało się, że nie w Bobrze. Bóbr porwał ich swoim biegiem. Gdyby nie nasi, byłoby to pierwsze amerykańskie ofiary III wojny światowej.

■ W trakcie posiedzenia Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego sekretarz strony samorządowej Marek Wójcik poruszył temat programu „Roświetlamy

Budowlaniec leczy raka jodyną. Co na to prawo? Gówno.

W związku z dużym zainteresowaniem konsultacjami opartymi o naturalne metody wycofywania jednostek chorobowych informuję, że liczba miejsc jest ograniczona – przestrzegam Oskar Dorosz, twórca strony „Holistyczne wsparcie zdrowia”. We wpisie z 13 września Oskar donosi, że na konsultacje można się zapisać na miesiąc listopad, ale pociesza, że istnieje lista rezerwowanych na wcześniejsze miesiące i w każdej chwili możecie dostać informacje o szybszym terminie. Konsultacja – mająca charakter telefoniczny lub mailowy, oparta jest o wyniki badań oraz samopoczucie klienta w celu dobrania odpowiednich ziół i witamin pod jego przypadłość.

Nie zwlekaj, zadbaj o swoje zdrowie już dziś! – wzywa na koniec uzdrowiciel z Nowogrodu Bobrzańskiego w woj. lubuskim. Stronę, której jest administratorem, obserwują 104 tys. osób; cytowany wyżej post polubiło 1,8 tys. ludzi. W filmie dołączonym do wpisu Dorosz wyjaśnia, że blaszka miażdżycowa składa się w 99 proc. z wapnia, a tylko w 1 proc. z cholesterolu. Remedium na zapchane tętnice ma być kwas wersenowy, czyli EDTA. Co mają wspólnego wapń i metale ciężkie z blaszką miażdżycową? Gówno, czyli tyle samo co Oskar Dorosz z wiedzą medyczną.

Mój tata miał 80 wlewów z EDTA na blaszkę miażdżycową, niestety nic nie dało, a kosztowało to kupę kasy. Jaka może być przyczyna? – pyta jedna z internautek. „Konsultacja”, „kasa” i „gówno” – to słowa klucze do zrozumienia fenomenu działalności paramedycznego guru.

Bez cenzury

Naturopata z wieloletnim doświadczeniem w leczeniu pacjentów naturalnymi metodami. Rozpoznawalny w całej Polsce, zdobył uznanie dzięki swojemu niekompromisowemu podejściu do medycyny, braku cenzury w wypowiedziach oraz odważnym, nieraz kontrowersyjnym teoriom naukowym...

Oskar Dorosz w listopadzie 2022 r. założył na Facebooku grupę, w której robił wiatrak z lekarzy; już w grudniu ogłosił pierwsze konsultacje z pacjentami. W styczniu 2023 r. dokonał zmiany we wpisie w Centralnej Ewidencji i Informacji o Działalności Gospodarczej (CEIDG) – przejeźdźcał działalność motoryzacyjną na paramedyczną. Od tamtego czasu, obok robót budowlanych związanych ze wznoszeniem budynków mieszkalnych i niemieszkalnych, zajmuje się dodatkowo sprzedażą napojów, żywności i wyrobów tytoniowych, a także pozostałą działalnością w zakresie opieki zdrowotnej, gdzie indziej nie sklasyfikowaną. Nie szkodzi, Dorosz klasyfikuje się sam.

Jego wiedza i doświadczenie czynią go jednym z najbardziej poszukiwanych prelegentów na ważnych konferencjach zdrowia zarówno w Polsce, jak i w Wielkiej

Cudotwórca z Nowogrodu

Brytanii – przedstawia się skromnie na stronie internetowej. Można przez nią zamówić e-booki wybitnego autora. Spektrum specjalizacji, którymi się zajmuje, jest proporcjonalnie szerokie do zachcianek konsumentów: insulinooporność, dieta keto, anemia, zatrucie metalami ciężkimi. Ekspert chałupnik podbija internet, na insta-

empii. Paramedyczny akrobata potwarza mądrości swojego mistrza dr. Huberta Czerniaka, któremu Naczelny Sąd Lekarski zawiesił prawo do wykonywania zawodu na dwa lata. Pannowie oprócz zdania o autyzmie mają jeszcze jedną wspólną pasję – biznes. Cudowny Oskar prowadzi sklep z suplementami „Doktor Zdrowie”, cho-

Nie ma chorób nieuleczalnych

Naturopatol z lubuskiego Piżdzichowa rozkręcał majdan w najlepsze miesiącami. W swoich materiałach rekomendował leczenie końskimi dawkami jodu (350 razy większymi niż zalecane) endometriozy, stanów lękowych, depresji i raka piersi. Chujowe efekty uboczne „kuracji” tłumaczył naturalną odpowiedzią organizmu na pozbywanie się toksyn. Przekonywał, że jego protokół chelatacyjny, skupiający się na eliminacji metali ciężkich, znajduje zastosowanie w leczeniu chorób cywilizacyjnych, począwszy od autyzmu, przez choroby autoimmunologiczne, na nowotworach kończąc.

20 lutego 2024 r. rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec złożył zawiadomienie o działalności lewego doktora do Prokuratury Rejonowej w Zielonej Górze. Dorosz mógł dalej bezkrytycznie kolportować komunały, bo zielonogórska prokuratura 23 kwietnia zawiadomienie Chmielowca osz-

czała przez umorzenie. 9 maja Chmielowiec złożył do sądu Rejonowego w Zielonej Górze zażalenie na działanie prokuratury; rozprawę wyznaczono na 3 września. W tym czasie na facebookowej grupie Dorosza wyznawcy alternatywnej medycyny przerzucali się pomysłami na leczenie wrzodziejących jelit środkiem do czyszczenia armatury, wymianę antybiotyków na napar z bluszczyka kurdybanka i płyn Lugola. Także w kwietniu na YouTube pojawiło się nagranie z dramatyczną relacją kobiety, której matka po rozpoznaniu raka piersi szukała wsparcia zarówno na grupie, jak i u Dorosza i, co gorsza, je znalazła. Naturopata w trakcie kilku telefonicznych konsultacji namówił ją do rezygnacji z biopsji, tłumacząc, że ta rozsiewa nowotwór. Jednocześnie wmówił chorej, że guz wcale nie musi być rakiem, i zalecił leczenie przez oczyszczenie organizmu. Naturalnie przy pomocy suplementów i wlewów z witaminy C.

Po ośmiu króplówkach w cenie 400 zł każda, ku zdziwieniu pacjentki, to, co nie było rakiem, dało przerzuty. Dorosz prędko zrzucił winę na zbyt długą przerwę w konsultacjach. Kiedy córka zmarłej zaczęła ostrzegać innych forumowiczów przed śliskimi praktykami lubuskiego znachora, została zablokowana.

W ramach kondolencji otrzymała pogroźki. Po pięciu miesiącach od publikacji materiału w sieci sąd rejonowy m.in. na jego podstawie uchylił umorzenie dochodzenia i uznał, że prokurator powinien dokładnie zbadać sprawę. Co z tego może wynikać? Niestety gówno.

Dura lex

W Polsce pojęcie działalności leczniczej obejmuje jedynie medycynę konwencjonalną. Rozszerzenie jej uregulowań na paramedycynę wymagałoby stworzenia odrębnych regulacji. Owszem, polski ustawodawca zauważył istnienie paramedycyny – czego dowodem jest wskazanie jej w Polskiej Klasyfikacji Działalności kodem 86.90.D. Krótko mówiąc, odbiorca szeroko pojętej medycyny alternatywnej jest konsumentem i usługobiorcą, a nie pacjentem. Dorosz, nazywając swoje usługi konsultacjami, mógł sprawić, że prokurator skoczy mu na dyndzel. Nie w ciemni bity handlarz jodyną dodatkowo zabezpieczył swoją dupę zawartą w e-bookach klauzulą, że przedstawione przez niego zalecenia suplementacyjne mają charakter wyłącznie edukacyjny i informacyjny. Co więcej, zaleca ich użytkownikom korzystać z własnego osądu i zdrowego rozsądku, a nawet zasięgnąć konsultacji z profesjonalistami z zakresu opieki zdrowotnej. Dopóki zatem ustawodawca nie położy prawnej pały na działalność Dorosza i jemu podobnych, stanie w szeregu wydymanych razem z jego wyznawcami.

IDALIA DUBICKA



gramowym konczie jego „wykłady” śledzi kolejnych 100 tys. fanów. Młody, opalony, z białymi jak koloratka zębami przyciąga wzrok. I tak pięknie mówi na swoich filmach.

Srali muchy

Nauka o dietetyce na studiach medycznych trwa tyle, co odcinek na Netflixie, więc lekarz na temat diety ma takie pojęcie, że jedzenie istnieje. To jakbym po obejrzeniu „Top Gun” uznał, że mogę pilotować myśliwiec – ogłosił Oskar wyznawcom. Co zapewne miało wyjaśnić, dlaczego specjalizujący się w handlu budowlaniec występuje w lekarskim kitlu. I pierdoli farmazon, że dzieci z autyzmem są potencjalnymi zabójcami swoich rodziców, bo nie mają

ciaż – wbrew temu, co opowiada – nie studiował trzy lata medycyny, bo jak donoszą wiewiórki, nie ma nawet matury. W ofercie ma produkty marki Slavito, która należy do spółki E-Remedium. Jednym z członków zarządu E-Remedium jest Czerniak. Na nie-szczęście dla młodocianych autystów Dorosz przekonał wielu rodziców, że faszzerowanie środkami na robaki dla zwierząt uzdrowi ich bombelki. Przy okazji stał się ofiarą własnego sukcesu, bo ściągnął na siebie uwagę środowiska lekarskiego.

Polskę”, na który przeznaczony być miał 1 mld zł. Z pieniędzy tych samorządy miały wymienić lampy sodowe na energooszczędne ledowe. To pozwoliłoby zmniejszyć opłaty za energię elektryczną potrzebną do oświetlania ulic o miliard złotych. Zysk dla samorządów miał wynieść 2 mld zł. Miliard od rządu in plus i miliard mniej wydatków. Samorządy miały rozpocząć sanację oświetlenia we własnym zakresie i pokryć koszty operacji w 80 proc. Prace rozpoczęto, ponieważ rząd obiecał, że pieniądze będą, przynajmniej dla 1214 gmin. Tyle że pieniędzy nie ma. Marek Wójcik zapytuje premiera Donalda Tuska: dlaczego?

■ Jeżeli chodzi o Zakopane, to jak podał Uber – światowa korporacja taksówkowa – można już tam zamówić samochody prowadzone przez jego dostojnych kierowców z krajów Drugiego i Trzeciego świata. Nikt już nie będzie płacił za przejechanie 23-kilometrowej trasy z Zakopanego do Morskiego Oka 361 zł! – cieszą się turyści. Radują się też właściciele zakładów blacharskich i wulkanizacyjnych – bo nowych klientów przybędzie.

■ Wrocławską policję demontuje informację, jakoby wlepiła mandaty kierowcom, którzy zaparkowali swoje samochody na trawniku wzdłuż wzniesienia Alei Kochanowskiego, aby uchronić je przed powodzią. Wrocławską

policję wzywała jedynie nonszalancko parkujących na komendy, by im wyjaśnić, że nawet fala powodziowa nie upoważnia do parkowania na zieleninie. Powinni znaleźć sobie jakiś inny sposób chronienia swoich drogocennych wózków.

■ W Warszawie podniesiono opłaty za wodę i ścieki. Stawka wzrosła z 11,46 zł do 13,72 zł za metr sześcienny – ok. 20 proc. Statystycznie mieszkańcy Warszawy zużywa miesięcznie 3,85 m sześć. wody. Rachunek wzrośnie dla niego o 8,70 zł. W przypadku dwuosobowego gospodarstwa – o 17,40 zł, a trzyosobowego – o 26,10 zł na miesiąc. Rachować to my potrafimy, co nie?!

■ Taryfy łączne za wodę i ścieki w dużych miastach Polski mają się następująco: Kraków – 13,73 zł; Łódź – 12,01 zł; Poznań – 14,92 zł; Rzeszów – 11,13 zł; Szczecin – 14,79 zł; Wrocław – 11,80 zł; Białystok – 8,20 zł; Gdańsk – 12,58 zł; Bydgoszcz – 10,42 zł; Zielona Góra – 15,39 zł; Katowice – 17,05 zł. Najwięcej za wodę i ścieki płać mieszkańcy śląskich Gieraltowic – 25,99 zł za 1 m sześć.

■ Jak powiedziała dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 9 w Dzierżoniowie Wioletta Uchman-Chrząszcz, zaangażowani w usuwanie skutków powodzi w jej placówce

kryminaliści z pobliskich więzień i aresztów zachowywali się wzorowo i ofiarnie, dając tym samym przykład obywatelskiej postawy wszystkim dzieciom.

■ W ekskluzywnych salonach spożywczych Żabki na terenach popowodziowych obniżono cenę wody pitnej o 30 proc. w stosunku do tej, którą płaćmy w Żabkach w pozostałych regionach kraju. Ponieważ w Żabce standardowo jest o 30 proc. drożej, rzec trzeba, że nienormalna sytuacja przywróciła marżową normalność.

■ Natomiast restaurator, właściciel warszawskiego lokalu Przystanek Bemowo Kuchnia & Craft Bar, napisał w mediach społecznościowych: z przykrością, że dotknęła go przykra sytuacja. Zatem była to chyba przykrość do potęgi drugiej. Polegała ona na tym, że czterech konsumentów zamówiło obiad, którego wartość wyniosła 650 zł, czyli jakieś 160 zł na twarz. Złodzieje wyszli bez płacenia. Omijając będziemy ten lokal, bo może się okazać, że nie patrząc na cennik w karcie dań przy ordynowaniu posiłku, gdy przyjdzie do płacenia, też będziemy musieli wyjść bez pożegnania.

■ Suwalska Straż Graniczna przechwyciła niewielki balon typu cargo, który transportował do jednego z gospodarstw w gminie Wізajny 20 tys. sztuk papierosów bez

polskich znaków akcyzy. Właściciele ładowiska zostali aresztowani. To jednak oznacza, że współpraca gospodarcza z Białorusią tak do końca nie wygasta.

■ Powódź, która dotknęła południową Polskę, zmyła z powierzchni ziemi nie tylko miasta, auta i dobytek. Ucierpiały w niej również zwierzęta, w tym pszczoły. Trudno zliczyć, ile pszczelarzy straciło dorobek swojego życia. Ile pasiek prowadzonych od wieków zostało zniszczonych przez żywioł. Zniszczonych rodzin pszczelich jest ogrom, zginęły miliony owadów. Woda przeszła, pytanie: co teraz? – zadaje Polski Związek Pszczelarski.

■ Przed Komendą Powiatową Policji w Mielcu zebrali się przedszkolaki z Przedszkola Miejskiego nr 9, które z okazji Ogólnopolskiego Dnia Przedszkolaka śpiewały piosenki, dziękując mundurowym za ich codzienną służbę. Sytuacja była zatem kuriozalna cokolwiek, bo z powodu dziecięcego święta to policja powinna raczej pod przedszkolem śpiewać, a nie na odwrót.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy regionalnej, gdzie w zależności od regionu inne jest wyobrażenie o prawdziwej obiektywności. Należy traktować je z rozbawieniem, ale i ostrożną powagą. Unikać wniosków natury cywilnoprawnej.

Dla części samorządowców najświętszym obowiązkiem jest świętowanie.

Według Słownika języka polskiego województwo, to *jednostka podziału terytorialnego w Polsce, podległa władzy wojewody. Powiat zaś – jednostka podziału terytorialnego w Polsce, wchodząca w skład województwa*. Województw było raz mało, potem dużo, a teraz mało, choć więcej, niż miało być. Z powiatami jest zaś tak, że nie było ich całe dziesięciolecie. Dlatego nikt normalny do aktualnej koncepcji podziału administracyjnego się nie przywiązuje. Jedynymi, którzy czują się jednak patriotami dolnośląskości, małopolskości czy nawet kujawsko-pomorskości są lokalni politycy. Najczęściej spowinowaceni z firmami organizującymi duże plenerowe eventy. No i zaprzyjaźnieni – rzecz jasna – z Kościołem.



Rys. TOMASZ WIATE

że miejscowi nie mieli pojęcia, że nie uczestniczą w kolejnej lokalnej imprezie plenerowej, ale obchodach najważniejszych dla władz województwa. Władz, które nie chwala się, że są na kilkunastomilionowym minusie budżetowym.

Świąt województw nie organizuje ściana wschodnia. Na coś tak głupiego nie wpadli ani na Podlasiu, ani na Podkarpaciu. Na Lubelszczyźnie też nie. Na podobne pierdoły nie wydają też kasy sejmiki z Warmii i Mazur, Mazowsza, łódzkiego i Wielkopolski.

Dni Województwa Zachodniopomorskiego wystartowały w roku 2003, by zemrzeć pięć lat później.

Sejmik Województwa Śląskiego w 2009 r. podjął uchwałę o ustanowieniu Dni Województwa Śląskiego. Tyle że od 2012 r. po wybecelowaniu na nie ledwo 3 mln zł nikt o nich nie wspomina.

Na samym początku istnienia województwa obchodziliśmy Dzień Województwa Lubuskiego, a teraz impreza ma rozmiar Święta – radowali się kilka lat temu się Lubuszanie na stronach sejmiku. Po 2021 r. im przeszło. Ale na pewno nie dlatego, że zadłużenie województwa to ponad 450 mln zł.

Szkieletczyzna od 2009 r. obskakiwała wojewódzkość w formie dni. Tanio. Po jednym, dwóch festynach w miastach powiatowych. Ale od paru lat poszła po rozum do głowy i dała sobie siana z szerzeniem świętokrzyskości.

Miłosierdzie powiatu

Powiat włocławski jest w województwie kujawsko-pomorskim. Dzięki temu co roku załapuje się na imprezy sponzorowane mu w ramach święta województwa. To jednak dla radnych za mało. Dlatego co roku odbywa się dwudniowe Święto Powiatu Włocławskiego. W tym roku wystąpił: Valinsky, Rips, Zeily, Late, Zetha, Modelki, Kubańczyk, a nawet Chór Mi Alegria, zespół Classic, zespół Lubranieckie Gitary oraz... Urszula! Oprócz tego był i Festiwal Smaku dla Kół Gospodyń Wiejskich z terenu powiatu włocławskiego.

Zadłużenie powiatu na koniec 2023 r. wyniosło 15 mln zł i jak widać nie stanowiło przeszkody w świętowaniu powiatowości.

O ile jednak impreza włocławska odbywała się latem i bawić się na niej mógł kto chciał, to na Święcie Powiatu Kaliskiego byli tylko zaproszeni. Święto było bowiem 3 lutego w Hali Widowiskowo-Sportowej w Liskowie. Jak napisano w komunikacie, *wśród licznie zgromadzonych osób były te, które od początku funkcjonowania samorządu powiatowego uczestniczyły w jego pracach*.

Święto Powiatu Chojnickiego jest festynem. W ubiegłym roku władze powiatu kupiły występ Kamila Bednarka, a w tym wystąpił zespół Varius Manx z Katarzyną Stankiewicz. I nikomu nie przeszkadzało, że w tym roku powiat jest 26 mln zł w plecy. Ważne, żeby robił coś dla ludzi. A większość powiatów nie robi. Swoje święta ma ledwie kilka. Z reguły są to sztampowe, ale fajne festyny.

Nie zawsze jednak. Tegoroczne Święto Powiatu Tczewskiego rozpoczęło się od mszy w intencji mieszkańców i Samorządu Powiatu Tczewskiego w kaplicy pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Collegium Marianum w Pelplinie, którą odprawił diecezjalny duszpasterz Samorządowców. Potem wręczono nagrody „Filar Powiatu Tczewskiego”, a całość obchodów zwieńczył koncert zespołu wokalnego AMOROSO.

TOMASZ BOROWIECKI

Módl się i płasaj

Zarażeni Rydzykiem?

Tegoroczny planowany deficyt województwa kujawsko-pomorskiego to 66 mln zł i zostanie pokryty głównie kredytem bankowym. Zdaniem wojewódzkich radnych województwo więc kwitnie, a ludzie żyją dostatnio, dlatego należy im się coroczne dziesięciodniowe wojewódzkie świętowanie.

Przed nami wspamiaty czas, w którym będziemy się znakomicie bawili, uczestnicząc w wydarzeniach, wśród których każdy znajdzie coś dla siebie. Ale jest to także, przynajmniej dla mnie, czas refleksji – nad drogą, którą przeszliśmy jako regionalna wspólnota, i nad ideą, którą możemy czerpać z życia i dzieła postaci, która nam w tej drodze patronuje, nad przekazanym nam przesłaniem. Niech nasza droga będzie wspólna. Niech nasza miłość będzie potężna. Niech nasza nadzieja będzie większa od wszystkiego, co się tej nadziei może sprzeciwiać – zapraszał w czerwcu na tegoroczne Święto Województwa Kujawsko-Pomorskiego marszałek Piotr Całbecki, cytując świętego patrona tegoż województwa Jana Pawła II.

Marszałek Całbecki wbrew pozorom nie jest z PiS. Marszałek Całbecki jest członkiem Platformy Obywatelskiej. PO zaś rządzi województwem kujawsko-pomorskim wraz z PSL od lat. W 2017 r. też. Dlatego nie powinno nikogo zdziwić, że patronat papieża Polaka został wówczas przez radnych przyjęty przez aklamację.

Wniosek do Watykanu o wojtłowy patronat napisano w lutym 2016 r. Porażała uzasadnieniem. Było zatem o tym, że Święto Województwa Kujawsko-Pomorskiego, ustanowione w 2008 r., jest obchodzone 7 czerwca, w rocznicę papie-

skiej pielgrzymki na Kujawy i Pomorze. A właściwie papieskich pielgrzymek. No bo papież w 1991 r. odwiedził Włocławek, a w 1999 r. – Toruń i Bydgoszcz. Zawsze 7 czerwca akurat. Nic zatem dziwnego, że tego dnia przypada wojewódzki dzień patronalny św. Jana Pawła II. A poza tym przecież w 2004 r. Jan Paweł II zgodził się przyjąć ofiarowany mu przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika doktorat honoris causa.

Gdyby rozpatrującym wniosek oficjelowi w Stolicy Piotrowej nie wydawało się to dość przekonujące, wspomniano, że 10 lat po śmierci świętego papieża dla uczczenia jego pamięci rok 2015 obchodzono w kujawsko-pomorskim jako „Rok Jana Pawła II, Papieża Rodziny”.

Nieprzekonanych podkomendnych papieża Franciszka dobiła zapewne informacja o tym, że papież-Polak jest w tamtych okolicach honorowym obywatelstwem piętnastu miast i dwudziestu dziewięciu gmin oraz patronem wielu szkół i placówek oświatowych, a także dwóch centrów dialogu społecznego i gmachu Wydziału Nauk Ekonomicznych i Zarządzania UMK. Jego imię noszą liczne ulice, place, parki i skwery, a także osiedla mieszkaniowe w Chełmnie, Chełmży i Sępólnie Krajeńskim. Po tak gruntownym udowodnieniu papieskiego umiłowania ziemi, tej ziemi, Watykan nie mógł się nie zgodzić.

W 2017 r., święto województwa rozpoczęło się zatem w katedrze świętych Janów w Toruniu, gdzie władze i radni województwa kujawsko-pomorskiego na mszy dziękczynnej podziękowali Opatrzności za zatwierdzenie przez Watykan świętego Jana Pawła II na patrona województwa.

W tym roku mszy co prawda nie było, ale uroczysta sesja sejmiku wojewódz-

twą odbyła się w Domu Polskim diecezji bydgoskiej przy kurii biskupiej w Bydgoszcy. Podczas niej Całbecki wręczył ustanowioną z jego inicjatywy Nagrodę Kopernikańską Fides et Ratio – znaczy Wiara i Rozum, słowa zaczerpnięte z jakiegoś miejscowego przemówienia Wojtyły – najwyższe wyróżnienie przyznawane przez samorządowe władze regionu. Nagrodę dostał niestrudzony popularyzator myśli Jana Pawła II, jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich duchownych i jeden z najbliższych współpracowników papieża Franciszka kardynał Grzegorz Ryś.

Tegorocznym novum w programie święta województwa było spotkanie młodych Przystanek JPPII „Wiara, kultura, dobro” z projekcją filmową i koncertem ojca Stana Fortuny CFR – franciszkanina z Bronxu, hip-hopowca i rapera.

Gdyby jednak jacyś mieszkańcy kujawsko-pomorskiego byli nie do końca wierzący, to też mieli szansę świętować. Były koncerty gwiazd w każdym mieście, dziesiątki festynów i pikników.

Lekko licząc, nieświeckie świętowanie wojewódzkości kujawsko-pomorskiej kosztowało co najmniej kilka milionów złotych.

Co wolno województwu...

Kiedys na stronach dolnośląskiego sejmiku można było wyczytać, że *dzień Św. Jadwigi Śląskiej, czyli 15 października, to Święto Województwa. Chcemy, aby ten dzień stał się prawdziwym świętem wszystkich mieszkańców Dolnego Śląska. To kolejny krok w umacnianiu regionalnej tożsamości Dolnoślązaków!* Kiedy jednak samorządowcy zadali sobie pytanie, czy znają choć jednego Dolnoślązaka, doszło do zmiany i dlatego rok temu *nie tylko jeden dzień, ale aż cały miesiąc wypełniono ponad*

w demokracjach nie stosuje. No nie ma tak, że jak jest powódź w Stanach, to prezydent siedzi i ruga urzędników publicznie, i to jest transmitowane. Tak nie ma w Niemczech, w Wielkiej Brytanii, we Francji, nigdzie. To jest typowo autorytarny model zarządzania.

★ Odpór herezji wygłoszonej przez Żakowskiego postanowiła dać „Gazeta Wyborcza”, drukując list od anonimowego czytelnika: *Chcemy wyrazić z mężem nasze oburzenie wypowiedzią Pana Jacka Żakowskiego, że Donald Tusk „stosuje metody putinowskie”. Jesteśmy od lat wiernymi czytelnikami „Gazety Wyborczej” (...). Wypowiedź Pana Jacka Żakowskiego uważamy za skandaliczną, jak można tak obrażać człowieka, premiera w obliczu takiej tragedii i tak ogromnego wkładanego wysiłku. Nie licuje to z Waszą gazetą, a głoszący pogląd Pana Jacka Żakowskiego jest po prostu wstrętny. Takich „listów” nawet gazety w putinowskiej Rosji nie drukują.*

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Niegdyś podwładny Radostawa Sikorskiego w MSZ, a dziś publicysta Onetu Witold Jurasz relacjonuje spotkanie Radka z Wołodymyrem Zelenskim: *Jak wynika z relacji uczestników rozmowy, atmosfera pomiędzy Zelenskim a Sikorskim była niezwykle napięta, można wręcz mówić o scysji. (...) Polscy uczestnicy wydawali się co najmniej zaskoczeni stylem, w którym prezydent Zelenski toczył rozmowę. Przyczyna jest tymczasem wbrew pozorom dość prosta. Ukraina (...) jest przekonana, że Polska jest do tego stopnia zagrożona przez Rosję, że pomagając Ukrainie, w istocie jedynie pomaga sobie samej. Miałoby z tego wynikać, że Ukraina nie ma w przekonaniu swoich elit żadnego powodu do jakiegokolwiek wdzięczności wobec Polski.*

★ Wyjazd Sikorskiego do Kijowa przeszedł jednak niemalże bez echa, gdyż akurat w dniu rozmów z Zelenskim

na Dolny Śląsk zawitała fala powodziowa. Premier Tusk zdecydował się na swoisty mariaż stylu dwóch wschodnich prezydentów – wizerunek à la Zelenski połączył z nieudolną próbą przekształcenia sztabu kryzysowego w wizytę gospodarską polskiego Putina. Nieogolony i odziany w dresową bluzę Tusk groził, że nie odpuszczy spekulantom, którzy postanowili zarobić na powodzi i ludzkiej tragedii i zwrócił się do odpowiednich instytucji, by przyjrzały się cenom rękawic ochronnych i gumowców w sklepach na terenach zniszczonych przez powódź. Z kolei siedzący obok premiera wojewoda lubuski uznał, że musi przekazać niezwykle ważną wiadomość: Henryk Matysik, Kolsko, były wójt Kolska: *„przekaz panu premierowi, że jest wielki”. Przekazuję, dziękujemy bardzo. Coraz bardziej groteskową atmosferę sztabów powodziowych skomentował celnie na antenie TVP Jacek Żakowski z tygodnika „Polityka”: Tusk sięgnął po metodę putinowską, której się*

Coraz mniej podoba mi się minister sportu.

Nitras idzie na wojnę

Cieszyłem się ze zmiany rządu po wyborach 15 października. Trochę zdziwiła mnie natomiast decyzja o powołaniu na stanowisko ministra sportu i turystyki Sławomira Nitrasa, bo Platforma Obywatelska ma w swoich szeregach niejednego człowieka świetnie znanego w środowisku sportowym, a niektórzy z nich zasiadają w poselskich ławach. Prędzej spodziewałbym się na tej posadzie Małgorzaty Niemczyk, byłej reprezentantki Polski w siatkówce, córki Andrzeja Niemczyka, którego przedstawiać nie trzeba, lub Barbary Hermel-Niemczyk, brązowej medalistki olimpijskiej z Meksyku.

Za Małgorzatą Niemczyk przemawia nie tylko sportowa przeszłość. Warto dodać, że była też trenerką klubu Budowlani Łódź. Pracowała również w urzędzie miasta, wybierano ją na radną łódzkiego sejmiku, popierała Bronisława Komorowskiego w wyborach prezydenckich – wszystko to z partyjną legitymacją PO w torebce. Trudno sobie wyobrazić lepszą rekomendację na stanowisko ministra czy też – według obowiązującej w partii nomenklatury – ministru sportu. Zna temat od niejednej strony: jako wybitna zawodniczka, trenerka, posłanka i samorządowiec (nie wiem, czy istnieje żeńska forma od słowa „samorządowiec”, w tym miejscu pozostawę więc przy tradycyjnej formie).

W wyborach do sejmu Niemczyk otrzymała 20 959 głosów, a więc... o 29 głosów więcej od Sławomira Nitrasa. Osobiście nie znam pani Niemczyk, ale mogę powiedzieć, że jest troszkę koleżanką po fachu, dała się bowiem poznać także jako dziennikarka sportowa.

Boże broń, nie chcę wprowadzać jakiegos zamieszania, nie wiem nawet, czy Małgorzata Niemczyk miałaby ochotę na ministerialny stołek. Pragnę tylko pokazać, że w szeregach partii Donalda Tuska są ludzie, którzy bardziej by pasowali do tego stanowiska. Szef zdecydował inaczej. Postawił na sprawdzonego w bojach partyjnego działacza, dobrego organizatora i zapewne też zapalonego kibica. W dodatku energicznego, sympatycznego człowieka. Jego prawo.

To idzie młodość

Znam duszę kibiców (nie mylić z kibolami). To ludzie pasjonujący się sportem, oglądający zawody, czasem zbierający pamiątki i gromadzący statystyki. Wszystko wygląda pięknie, ale w sporcie trzeba tkwić głęboko, żeby móc diagnozować zachodzące tam zjawiska.

Typowym kibicowskim zachowaniem po porażce jest wołanie o postawienie na młodych. Młodzież ma być lekarstwem na wszelkie bolączki. Od ludzi oglądających wszystkie mecze naszej piłkarskiej reprezentacji, których lubię i cenię, słyszałem, że nasza futbolową kadrę należałoby rozgonić na cztery wiatry, zostawiając w niej ewentualnie dwudziestolatka Kacpra Urbańskiego, a powołać młodzieżowców. Trudno przekonać tych ludzi, że byłaby to recepta na jeszcze szersze porażki, bo młodzież najpierw musi się nauczyć dorosłego futbolu, a zgrupowania seniorskiej kadry nie są szkółką. Tam jest czas tylko na szlifowanie zgrania ukształtowanych w klubach doświadczonych graczy.

Minister Sławomir Nitras – okazuje się – należy do kibicowskiej szkoły stawiania na młodzież. W kierowanym przez niego resorcie rozpoczęło się zbieranie wniosków do programu „Klub Pro”. 100 mln zł trafi do tych klubów, które najlepiej pracują z młodzieżą. Podstawą podziału pieniędzy będzie ranking sportu młodzieżowego, uwzględniający wyniki w zawodach młodzików i juniorów. Pozornie ma to mieć ręce i nogi. Naprawdę duża kasa trafi tam, gdzie w pocie czoła kształtują przyszłe gwiazdy, które jeśli nie na kolejnych, to na jeszcze kolejnych igrzyskach olimpijskich ucieszą rodaków gradem medali. Nikt nie będzie chodzić nad Wisłą ze spuszczoną głową jak po występie naszych rodaków w Paryżu.

O tym, że w sporcie konieczna jest reforma, wie każdy. Oczywiście trzeba rozliczyć poprzedników – co Nitras robi z wielkim zapałem – ale przede wszystkim wypracować sensowny plan na przyszłość. „Klub Pro” to na pewno nie jest najlepsze rozwiązanie. Przecież w wyczynowym, w pełni profesjonalnym sporcie nie chodzi o – przepraszam za słowo – produkowanie juniorów, a na tym zachęczone pieniędzmi skupią się teraz kluby. Zgadzam się z Markiem Wawrzynowskim z „Przeglądu Sportowego” i Michałem Kiedrowskim ze Sport.pl, że lekarstwo, które proponuje się choremu, zamiast uleczyć, prędzej przeniesie go na tamten świat.

Z myślą o punktach

Postawmy się teraz w roli uczciwego i zaangażowanego w pracę klubowego działacza. Wciąż narzeka na brak pieniędzy.

Teraz nadarza się okazja, że wreszcie będzie wystarczać na najbardziej podstawowe sprawy, takie jak ogrzewanie, pensje dla pracowników, niezbędne remonty. Co robi prezes? Zacznie wyciskać ostatnie poty z młodych zawodników oraz z ich szkoleniowców.



Chodzić przecież będzie o punkty do rankingu. Co stanie się później, okaże się mniej ważne.

Każdy, kto mniej więcej orientuje się w sportowym światku, powie wam, że dla zawodnika i jego szkoleniowców najtrudniejszy – niezależnie od dyscypliny – jest przeskok z wieku juniora do seniora, gdy przychodzi mierzyć się poważnie ze starszymi rywalami.

Potknąłem się na tej przeszkodzie, ale tu akurat sam sobie byłem winny; wolałem bawić się, pić i palić bez wyrzutów sumienia, że niszczę formę sportową. Być może gdyby w tym momencie ktoś mądry mną pokierował, nie byłbym dla sportu stracony jako zawodnik i nie musiałbym później mądrzyć się w charakterze dziennikarza.

Wielkie gwiazdy nie zawsze błyszczały w wieku młodzika i juniora. Jako najbardziej charakterystyczny przykład podaje się karierę trzykrotnej mistrzyni olimpijskiej i czterokrotnej mistrzyni świata w rzucie młotem Anity Włodarczyk. Jako juniorka nie zdobywała medali mistrzostw Polski, jej talent eksplodował w dojrzalszym wieku.

Robert Lewandowski jako chłopak ginął gdzieś w masie rówieśników uganiających się za piłką. W warszawskiej Legii nie poznali się na jego talen-

cie, sprzedali go – za 500 zł, o ile dobrze pamiętam – do Znicza Pruszków; nawet karty zawodniczej nie oddał mu nikt z działaczy, wyręczono się sekretarką.

Z drugiej strony długa jest lista dziewcząt i chłopców, którzy błyszczeni jako młodziki i juniorzy (teraz zbieraliby punkty do rankingu), a później słuch o nich zaginął. Przetrenowanie w młodym wieku może mieć opłakane skutki, a i kontuzje w wyczynowym sporcie są plagą. Młodych prowadzić trzeba bardzo ostrożnie, a nie z myślą o punktach, gromadzonych w rankingu, za które dostaje się dobre pieniądze.

Wiem, że w PZPN swego czasu zrodziła się nawet myśl, aby w ogóle zrezygnować z rywalizacji w najmłodszych grupach wiekowych. Szczерze mówiąc, nie wiem, jak dalek potoczyły się losy tego pomysłu, a wydawał się bardzo ciekawy.

Zawody dzieci przynosiły więcej złego niż dobrego. Ambicje trenerów, działaczy, rodziców i samych pociech prowadziły czasem do gorszących scen. Pani sędzia Karolina Bojar-Stefańska opowiadała kiedyś, że podczas meczu dzieciaków, który prowadziła, zachowanie trenerów było tak skandaliczne, iż należałoby ich usunąć z ławki. Zrobiłaby tak, gdyby nie inny przepis, zabraniający zostawiania dzieci podczas meczu bez opieki...

Z takimi problemami będą się musieli mierzyć uzdrowiciele naszego sportu, jeśli bezkrytycznie stawiać będą na młodych.

Obce ciało

Młodość jest w polskim sporcie pojęciem względnym. W naszej piłkarskiej lidze o zawodnikach 25-letnich mówi się, że są młodzi. W najlepszych europejskich ligach grają nastolatki. Miejsca na tej stronie by nie starczyło, żeby wymienić nazwiska prawdziwych gwiazd, które nie ukończyły jeszcze dwudziestki lub niedawno obchodziły te okrągłe urodziny. Oczywiście na plan pierwszy wysuwa się Hiszpan Lamine Yamal, który bramkę podczas mistrzostw Europy strzelił przed ukończeniem siedemnastego roku życia.

Pokażcie mi w polskiej lidze jednego naprawdę młodego zawodnika z umiejętnościami choćby

Minister wydał wojnę związkom. Oczywiście teoretycznie ma rację. W wielu z nich widzimy bagno. Najjaskrawszym przykładem jest curling (w końcu dyscyplina olimpijska), ale bardzo źle dzieje się w szermierce, zapasach, a nawet na dworze samej królowej sportu, czyli w lekkoatletyce

– wystarczy poczytać gazety. W biathlonie seniorzy i juniorzy wspólnie startują w mistrzostwach Polski, zawodników jest zbyt mało, aby organizować osobne imprezy. Gdyby w łyżwiarstwie figurowym wyjąć poza nawias zawodniczek i zawodników o ukraińskim, białoruskim lub rosyjskim pochodzeniu, w ogóle mało kto by się ostał. O piłce nożnej pisałem tydzień temu...

W oparach minionej epoki

Nie wiem dokładnie, o co chodzi w tych związkach sportowych, po czyjej stronie jest racja itd. Choć staram się być dobrze poinformowany, już przez fakt, że choroba nóg uniemożliwia mi korzystanie z legitymacji Klubu Dziennikarzy Sportowych (wciąż jestem wdzięczny kolegom za pamięć i przysyłanie mi pocztą opatrzonego fotografią dokumentu) w celu śledzenia imprez z trybun, jestem trochę poza wszystkim i muszę wspomagać się cudzymi opiniami. Jednego jestem pewien. Nawet tych najbardziej zabagnionych związków sportowych nie da się rozpuścić ministerialnym zarządzeniem.

Związki sportowe są autonomicznymi organizacjami kierującymi się własnymi statutami i podlegającymi władzy międzynarodowych centrów. Jest w nich wielu uczciwych, oddanych sportowi działaczy. To powinni być sojusznicy Nitrasa, zwłaszcza teraz, gdy niedługo odbędą się zgromadzenia sprawozdawczo-wyborcze. Jeśli ich obrady ograniczą się do rozliczeń, żaden program „Klub Pro” polskiemu wyczynowi nie pomoże. Tylko czy

znajomość sportu przez ministra Nitrasa jest na tyle dogłębna, że potrafi odnaleźć takich sojuszników? Mam pewne wątpliwości.

Dawanie za wzór słusznie minionej epoki jest bez sensu. Narazić może tylko na pusty śmiech. Z jednym małym wyjątkiem. Sport, nawet ta nieszczęsna piłka kopana, stał na wysokim poziomie, zarówno wyczynowy, jak i powszechny.

Moja droga do sportu była w PRL typowa. Liceum, do którego uczęszczałem, objęła patronatem sekcja piłki ręcznej klubu Spójnia Warszawa. Nauczyciel wychowania fizycznego wyłapywał zdolnych chłopaków i trafiał na treningi. W jakiś sposób się tam załapałem i nawet przez dwa sezony grałem w juniorskich mistrzostwach stolicy, gdzie w finale Spójnia tradycyjnie dostawała bańki od Warszawianki.

Pies trącał moją krótką i nieudaną karierę. Ale z mojego rocznika dwaj koledzy trafili do seniorskiej I ligi. Na pociechę została mi miłość do sportu, która pokierowała później zawodowym życiem.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sadowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan
WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 25.09.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Doktor podpułkownik Jacek Siewiera miał się za człowieka czynu. Jako anestezjolog bez wahania podawał pacjentom ketaminę czy fentanyl, jako wojskowy mierzył i strzelał do wrogów, jako szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego postanowił wystartować w najbliższych wyborach prezydenckich.

Dżek, żebyś miał jakąś szansę w pojedynku z Trzaskowskim, najpierw musisz wyeliminować konkurentów – poradził Siewierze głos wewnętrzny.

– Hołownię? – zapytał Siewiera.
Zwariowałeś?! Konkurentów z Prawa i Sprawiedliwości.

– Błaszczaka? Szydło? Jakiego? Morawieckiego?

Wreszcie skumałeś... Również Bocheńskiego, Boguckiego, Nawrockiego, Nadberezego...

– Kto to jest Nadberezny?
Nie osłabiaj mnie, Dżek... Lucjusz Nadberezny, prezydent Stalowej Woli, ci-chy faworyt prezesa.

– Jasne. – Siewiera pokiwał głową, a trybiki w jego głowie zaczęły się kręcić coraz szybciej.

...

Kilka dni później szef Klubu Parlamentarnego Prawa i Sprawiedliwości Mariusz Błaszczak odebrał telefon.

– Dzień dobry, mam na imię Jaromir, jestem pana doradcą biznesowym – odezwał się ktoś, kto naśladował sztuczną inteligencję.

– Słucham? – warknął Błaszczak.
– Został pan wybrany do bezpłatnej wymiany telefonu komórkowego – poinformował Jaromir. – Oferujemy najnowszy model iPhone’a.

– A najnowszy Google Pixel? – zapytał Błaszczak i chciwie obliżał usta.
– Załatwione. Podam panu teraz warunki, które...

...

Na roboczym stole w garażu Siewiera leżało kilkanaście telefonów komórkowych. Były częściowo rozmontowane. Przy imadle stał śniady mężczyzna, który przedwczo-raj przybył do Warszawy z Galilei. W jednej ręce trzymał kombinerki, a w drugiej coś, co przypominało ziarnko grochu.

– Tu masz miniaturowy lokalizator – mówił do szefa BBN z wyraźnym hebrajskim akcentem – a tam pięciogramowy ładunek em-be.

– Ładunek em-be? – zapytał Siewiera.

– Em-be jak małe bum – roześmiał się gość z Galilei. A może z zachodniej Jerozolimy...

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN jest chora i myśli tylko o tym, czy zdąży się wykurować do wycieczki do Toskanii. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** nigdzie się nie wybiera, więc rozmyśla o Stalinie.

Wołk-Łaniewska: – 27 czerwca 1941 r., kiedy radziecki front zachodni właściwie się załamał i Niemcy byli o krok od zdobycia Mińska, Stalin z Berią i Mołotowem pojechał do narkomatu obrony i zaczął domagać się raportu. Timoszenko z Żukowem go pogonili: *Jeszcze nie jestem gotów do raportu* – powiedział Timoszenko. Stalin: *Waszym obowiązkiem jest zawsze wszystko widzieć jak na dłoni i informować nas na bieżąco*. Na co Żukow warknął: *Towarzyszu Stalin, pozwólcie nam kontynuować pracę!* Stalin głęboko dotknięty rzekł: *Odsuwając nas, popełniacie wielki błąd*, po czym wyszedł i powiedział do Mołotowa i Berii: *Lenin stworzył nasze państwo, a my wszyscy je przesraliśmy*. Tak mi się skojarzyło...

Senyszyn: – A z czym konkretnie?

– A tak konkretnie to oczywiście z niczym. Bo przecież nie z naszym wspaniałym premierem. Jemu nikt nie odwarował, jak wzywał urzędników i samorządowców i ich opierdalał, żeby nie szukali dupokrytek, tylko byli jak jedna pięść...

– Ze strony premiera to gra, która ma uratować rząd przed spadkiem notowań, a może i jego samego wynieść na prezydenturę. Z najnowszych badań wynika, że Polakom bardzo się ta premierowska pięść podoba, a rząd przez powódź nie traci poparcia, co jest ewenementem.

– Jeden Żakowski powiedział w TVP Info, że pokazywanie na żywo posiedzenia sztabu kryzysowego, gdzie premier publicznie ruga urzędników, to typowy autorytarny model zarządzania, a więc *metoda putinowska*.

– Nie idź drogą Żakowskiego.

– Nie planuję. Z Putinem przestrzelili. To są jednak różne sposoby zarządzania... Jak nietrudno zgadnąć, ze strony obozu władzy popłynęła fala oburzenia.

– Leszek Miller też skrytykował Żakowskiego i chyba bezinteresownie, bo jak teraz nie dostał miejsca do Brukseli, to i za pięć lat się nie załapie.

– Leszek Miller już dawno jest w obozie Tuska sercem, nie tylko portfelem.

– Działania Tuska to czysty marketing w odmianie demokracji walczącej: premier walczy ze swoimi ministrami i wygrywa. Za chwilę będzie im lżej, bo nowym chłopcem do bicia jest Kierwiński. To dopiero błyskawiczna kariera: w dziewięć miesięcy z konstytucyjnego ministra, posła i europosła został pełnomocnikiem rządu bez immunitetu. Funkcja skazana z góry na porażkę, bo co by zrobił, zawsze będzie więcej niezadowolonych niż zadowolonych.

– Jakoś nie potrafię zapłakać nad Kierwińskim... W każdym razie, wobec pełnej pokory re-

akcji ruganych, premier nie musiał uciekać się do metody tow. Stalina i udawać załamania nerwowego, żeby zobaczyć, kto jest wierny, a kto będzie podskakiwał...

– Załamanie, ale sercowe, to udawał Czarzasty, jak notowania Ogórek spadały. Ale nie żeby poznać, kto za nim stoi, tylko żeby się wymigać z szefowania katastrofalnej kampanii.

– A tej historii akurat nie znałam. Wiesz, jakoś nie zaangażowałam się w tamtą kampanię. Wracając wszakże do Putina, tfu, Donalda...

– Ty uważaj, jak się przejęczysz.



Rys. WIDGET

– Tak naprawdę to chciałam powiedzieć Putina, tfu, Kosiniaka.

– Cytuując prezydenta Dudę...

– Dokładnie. Pan prezydent – wyjaśnijmy tym, którzy nie oglądają Polsat News, bo mogą znieść tylko TVN24 – ogłosił, że stanowisko Kosiniaka-Kamysza, który mówi, że Polska nie wpuści Ukrainy do UE, jeśli nie zostanie rozwiązana kwestia Wołynia, wpisuje się w politykę Władimira Putina. Bo Putin zdecydował się na agresję na Ukrainę właśnie po to, żeby zatrzymać wejście Ukrainy do Unii Europejskiej. Tak dla porządku – to nieprawda, Putin Unię Europejską uważa za słaby biurokratyczny twór i generalnie ma w dupie, awantura poszła o NATO. Ale mniejsza o to – ważniejsze, że to jest genialna koncepcja polityki międzynarodowej. Nie mamy żadnych interesów,

warunków ani oczekiwań poza tym, żeby zrobić wbrew Putinowi.

– Jak nie mamy, jak mamy Wołyń, żeby użyć stylistyki Kiepskiego.

– No ale właśnie prezydent Duda uważa, że nie powinniśmy mieć. Wołynia ani czegokolwiek innego. Rosja mogłaby zacząć oferować swój sprzeciw za niewielką opłatą krajom, które chcą coś załatwić z Zachodem. Gdyby na przykład Wenezuela chciała przystąpić do NATO, może poprosić Putina, żeby kategorycznie zaprotestował i wtedy prezydent Polski stanie u boku Nicolasa Maduro...

– Już nigdzie nie stanie, bo mało mu zostało. Za to Kosiniak-Kamysz robi się mentalnie coraz podobniejszy do Dudy i PiS. Według prof. Matczaka po to, żeby konserwatywny elektorat nie był skazany wyłącznie na kacystów. Moim zdaniem przepoczwarczenie Kosiniaka w ministra obrony życia poczętego i te jego patriotyczne tony są dla rządu wyłącznie szkodliwe i nie tylko nie przysporzą wyborców, ale przeciwnie. A propos patriotycznych tonów, to jest afera z fortepianem Paderewskiego, kupionym wraz z jakimiś pamiątkami za ponad 300 tys. zł...

– „Jakimiś pamiątkami” – dobre sobie. Same skarby: kartki pocztowe, hantle, garnki i kwit z pralni...

– Fortepian podobno jest wart 10, góra 15 tys. zł, ale umowa kupna-sprzedaży ma szansę trafić do „Księgi rekordów Guinnessa”, bo zamiast wartości nabytych pseudo pamiątek jest preambula: *Świadomi odpowiedzialności, ciężącej na nas przed Bogiem, Ojczyzną i historią...*

– Zachwyciła mnie skądinąd jedna z notatek, które pojawiły się w procesie zakupu: *Na chwilę obecną nie ma żadnych dowodów, które przeczyłyby informacji prezentowanej przez obecnego właściciela, pana Gattlena – że fortepian należał do Paderewskiego*. To całkiem jak czajniczek Russella: skoro nie da się dowieść, że nie istnieje, to wiara w niego jest naszym moralnym obowiązkiem.

– Ale Russell pisał, że staje się takim dopiero, kiedy jest potwierdzona w starożytnych księgach, głoszona jako święta prawda każdej niedzieli i wtlaczana do umysłów młodzieży w szkole. Opinie p. Żaryna ze zlikwidowanego już szczęśliwie Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej, który fortepian i kwity z pralni kupił, nie mają póki co statusu świętej księgi.

– Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego (uff!) nie został zlikwidowany, tylko przekształcony w Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. Który według nowego p.o. dyrektora Adama Leszczyńskiego ma prowadzić badania historyczne oraz monitorować zagrożenia dla liberalnej demokracji. Ja szalenie cenię prof. Leszczyńskiego, autora znakomitej „Ludowej historii Polski”, ale to jednak brzmi jak synekura. Od monitorowania zagrożeń są służby specjalne, a instytutów badających historię myśli politycznej jest od groma. I wolałabym, żeby robiły to uczelnie i PAN, a nie instytucja podległa rządowi. Tak na wszelki wypadek, bo wiemy, że rząd się może zmienić na taki mniej liberalny...

– A propos rządu i liberałów: słyszałaś fascynującą historię młodego doradcy premiera Tuska?

– Jak młodego?
– 23 lata. Centrum Informacyjne Rządu wyjaśnia, że młodziak ukończył studia na dwóch wydziałach (ekonomii i filozofii) na University of Chicago, jednym z najlepszych uniwersytetów na świecie...

– Czyli jest podwójnym „Chicago Boy”. Tylko tego nam brakowało...

– Zaraz, zaraz, nie denerwuj się. On nie został zatrudniony ze względu na swoje chicagowskie wykształcenie.

– A dlaczego?
– A bo jego tatuś jest jednym najhojniejszych sponsorów PO. Tylko w ostatnich kilkunastu miesiącach podarował partii ponad 100 tys. zł.

– A jak tak, to wszystko w porządku.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI